

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Łódź, 2 lutego 1947 r.

Nr 5 (84)

Stanisław Cieślak

PRZYSZŁOŚĆ ROLNICTWA (II) *

Plan Odbudowy Gospodarczej na plan pierwszy wysuwa słusznie sprawę odbudowy zdolności produkcyjnej rolnictwa. Zamierzenia planu są bardzo śmiałe, gdyż przewiduje on, że produkcja rolna na głowę ludności w roku 1949 powinna przewyższyć poziom produkcji

rolnej roku 1938. W tej dziedzinie mamy do pokonania dwie trudności: odrobienie zniszczeń wojennych i zagospodarowanie odłogów.

Zniszczenia wojenne nie dotyczą jedynie budynków wiejskich, obejmują również stan pogłowia, narzędzia, a nawet

ziemię, która niezasilana w okresie okupacji i wojny, wyjąłowała. Tragicznie zwiaszcza z punktu widzenia zdolności produkcyjnej rolnictwa, przedstawia się sprężaj. Ilość koni czy traktorów jest w wysokim stopniu niedostateczna i słusznie Plan Odbudowy Gospodarczej

na tę dziedzinę zwraca dużą uwagę. Mimo wielkich wkładów, zarówno w odbudowę budynków, odbudowanie stanu pogłowia zwierzęcego i zagospodarowanie odłogów, ze względu na ogrom zniszczeń wojennych w początkowym okresie Planu będziemy mieć do czynienia z procesami dekapitalizacyjnymi w rolnictwie. Szczupłość środków, jakimi dysponujemy, nie pozwoli do roku 1949 zaleczyć wszystkich ran zadanych rolnictwu przez wojnę.

Przy szczupłości środków nakazem chwili jest jak najbardziej racjonalne i jak najbardziej oszczędne używanie tych środków. Skoncentrowanie się na odbudowie budynków, odbudowie pogłowia, zwiększeniu wydajności ziemi — jest całkowicie słuszne. Inne, nie mniej potrzebne zagadnienia, jak: melioracje, czy komasacje, z konieczności musiały być odsunięte na plan dalszy i znajdują pełniejszy wyraz w przyszłych planach gospodarczych.

Wysunięcie sprawy zwiększenia produkcji rolniej na plan pierwszy w Planie Odbudowy Gospodarczej pociąga za sobą konieczność pewnych ulepszeń w systemie gospodarowania. Gospodarstwa chłopskie jednorodzinne z natury rzeczy są gospodarstwami, które mało stosunkowo towarów dostarczają na rynek. Utowarowienie gospodarstw chłopskich konieczne, da się osiągnąć pod pewnymi warunkami:

a) należy dążyć do stopniowego upelnorolnienia gospodarstw chłopskich, co da się osiągnąć przez wzmocnienie akcji osadniczej na Ziemi Odzyskanej;

b) racjonalizację upraw i hodowli, której wymaga różna struktura geograficzna i klimatyczna poszczególnych regionów w Polsce. Należy walczyć z tradycyjnymi przyzwyczajeniami w zakresie takiej a nie innej produkcji, jakie osadnicy przynoszą ze sobą na Ziemi Odzyskanej, których możliwości dostateczne jeszcze nie poznali;

c) powinna nastąpić specjalizacja gospodarstw chłopskich w tym stopniu, na jaki pozwala charakter gospodarstwa chłopskiego. Należy przełamywać przywiązanie do gospodarki naturalnej, w ramach której chłop starał się wyprodukować w swoim gospodarstwie to wszystko, co do utrzymania rodziny chłopskiej potrzeba. Bez specjalizacji nie ma zwiększenia produkcji i nie ma potanień produkcji. Rolnik nie może się znać na wszystkich gałęziach produkcji jednako.

d) ta specjalizacja wymaga zaufania mas chłopskich do aparatu wymiany towarowej. Niedostateczna sieć spółdzielczego aparatu zaopatrzenia musi być jak najszybciej rozbudowana. Nie należy zapominać i o tym, że nie tylko wymiana między wsią i miastem, ale również wymiana w obrębie wsi posiada podstawowe znaczenie dla unowocześnienia gospodarki rolnej w Polsce.

Konieczność zwiększenia produkcji rolnej wymaga większej mechanizacji rolnictwa. Mechanizacja ta pozwoli na zwiększenie wydajności pracy ludz-

Za liczbami — obywatele

Z wyborami jest rzeczywiście inaczej, niż z reformami. Przypomnijmy sobie, jak w okresie okupacji inspirowane „Londynem” nasze ludowe pisma konspiracyjne odkładały reformę rolną na sejm, jak zgłaszały obronę prywatnej własności wszelkiego stopnia i rodzaju. I kiedy reformę rolną przeprowadziliśmy — pamiętamy — długie miesiące upłynęły, nim prawica ludowa wyzbyła się wobec niej zastrzeżeń. Czytałem nie tak dawno w „Wiciach” ocenę reformy, nie to jest ważne — pisanie — kto ją przeprowadził, chłopci czy nie chłopci, ważne jest to, że stanowią wielką, półwiekową, tęsknotę wsi. Proces „przyswajania sobie” reform trwał w czasie i nie jest równoczesny z ich dokonaniem. Z tego zdawaliśmy sobie sprawę, ale dlatego jasne dla nas było, że „przyswajanie sobie” przez naród i reform i nowej polityki wydać może jeden owoc: solidarność w kroczeniu drogami wytyczonymi przez te przełomowe decyzje. Wybory nie mogły więc być aktem niezależnym od tamtych ogniów. Musiał się w wyborach wyrazić stopień przyswojenia reform. Milion głosów rzucanych w Referendum przeciw Ziemiom Zachodnim wywołał odrośnięcie wstrząs w narodzie. Zrozumiano, że nowej polityki lekceważyć nie można, że nie można żyć poza nią, jeśli się nie chce zniszczyć narodu. I trzy miliony rzucane za senatem również wstrząsnęły sumieniem społeczeństwa, sumieniem zbałamuczonej wsi. Cóż to za polityka, która dla „swoich celów” każe występować przeciw od dziesiątek lat głoszonemu żądaniu zniesienia zniemawidzonej instytucji, narzędzia ubezpieczającego pozycję panujących klas. Te liczby otrzęściły naród, otrzęściły wieś. Za małe, aby ozna- czać taktykę polityczną, a za wielkie jednak były, aby nie powiedzieć — zdrada ludu!

Pozostawała sprawa, w jakim stopniu naród rozezna się w tym, kto naprawdę jest gwarantem reform, kto naprawdę potrafi dalej konsekwentnie na ich fundamentach budować sprawiedliwą i mocną Polskę? I w tym się nie zawiedliśmy. Stoją przed nami cyfry wyników wyborów, których wymowa dla kraju i za granicą jest jednoznaczna. W czerwcu próbną doświadczenie solidarności nauczyło nas w następnych miesiącach, co znaczy dać Zachodowi nadzieję na niezgodę i różnicę. Usłyszeliśmy, jak po tamtej wojnie, głosy wołające — zwróćcie Ziemię Odzyskaną! Naród to lekko zapamiętał. Nie może być dwóch głosów — ambasadora i narodu. Cóżby to był za głos naszego przedstawiciela 10 marca w Moskwie, gdyby w wyborach naród nie okazał się jednolity. Tego głosu wyrazi- cielem będzie ambasador. I z tym głosem li- czyć się będą alianci. I już się liczą — jeśli dobrze wnikać w sens depeszy Bevina do Stalina. Przesyła się ją po naszych wyborach.

A nasze wybory... jako wyraz „przyswoje- nia sobie” reform i kierunku polityki ludo- wej? Żeby je w pełni ocenić trzeba się spo- wrotem cofnąć od liczb do ludzi. Trzeba so- bie wyobrazić znajomych i z potoku ich słów wylewanych i w prawo i w lewo wyłowić ów rosnący z miesiącami pozytywny do nowego ustroju nurt rozumnego myślenia obywatel- skiego.

I ja się rozglądam wśród moich znajomych. Ale nie wśród tych „patentowanych” i nie wśród zaawansowanych i na świecznikach. Wprost przeciwnie, łowią głosy znanych mi a dalekich przestrzeni, pozycją socjalną a nawet politycznym rodowodem. Zobaczmy ich przed wyborami.

Oto pierwsza postać. Ciotka wojewody, Dybowskiego. Chłopka z pochodzenia. Nazy- wa się Paulina Urbankiewicz, mieszka w Linness w Stanach Zjednoczonych. Mieszka tam od kilkunastu lat. Dorobiła się. Ma magazyn. Siostrzeniec, wojewoda napisał do

niej. A ciotka nieporna, że odpowiada woje- wodzie, pisze nie szczędząc familijnych rad, co następuje:

Linnes, dn. 27.XII.1946 r.
„Donosisz mi, iż kandydujesz na posła z Stronnictwa Ludowego (czy z partii ob. Mi- kołajczyka?) jeśli tak — należałoby przywrzeć się bacznie czego właściwie chce ob. Mi- kołajczyk i co jego działalność Polsce dać może. Opozycja, którą przedstawia ob. Mikołajczyk nie budzi mego zaufania, ponieważ pochodzi z Londynu ma poparcie z Anglii, a to jest właśnie słaba strona zbudowania Polski sil- nej i przemysłowej. Opieka Anglii jest wą- tpliwej wartości. Anglia potęgę swoją zbu- dowała dzięki niesłychanemu krętaństwu i zasa- dzie. Ze idzie z każdym kto jej potrzebny i zdradzi każdego, kto przestanie być potrze- bny. Lud angielski korzysta z tego co rząd je- go zrabuje w innych krajach, a że to poma- ga i wielkim i małym, więc z tego tam taka cudowna harmonia, rząd zmienia się wedle potrzeby, raz prawica, to znowu lewica, każ- dy, jak potrzebuje, otrzyma „wotum zaufa- nia” bo lud angielski wie, iż każdy pracuje wyłącznie dla Anglii. Wszystko to tak natu- ralnie i tak pięknie wygląda. Anglia daje też światu urzędników dygnitarzy zajmujących dobrze płatne synekury, a my, trzeba przy- znać iż dotąd dawaliśmy światu niewolni- ków, bo nie ma na całym świecie emigracyj- nego szlaku, gdzie nie można spotkać pol- skiego Bandosa. Po zalaniu Polski przez Niemców przyszła do mnie kobieta, która mi powiedziała: No to już Niemcy zlikwidowali wasze sezonowe Państwo, a wy myślicie, że jesteście mocarstwem.

Badź więc ostrożny chłopcze, aby zamiast Polski przemysłowej nie zbudować „sezo- nowej” bo skłócona i słaba może być łatwym pionkiem w przetargach międzynarodowych. W polityce nie wolno się kierować mrzonka- mi, gdzie jest wspólny wróg, tam jest wspól- ny interes i tam trzeba szukać oparcia. Niemcy w ostatniej wojnie odkryli, bardzo wyraźne zamiary swoje względem polskiego plemienia. Strzeżcie więc, aby Polska raz jeszcze nie znalazła się w zasięgu ich żelaz- nego uścisku. Słyszałam, że przed rokiem 1939 Polska miała parę milionów „chamów” na wywóz; nie trzeba chamów wywozić, trze- ba im dać oświatę i wydobyc ich z nędzy i poniżenia, a będzie z nich naród. Ludzie ci nie pójdą w ciężkiej chwili, aby gdzieś bu- rzę przecześć, tylko naprawdę powiedzą: Nie damy ziemi skąd nasz ród!”

Drugi znajomy. Krawiec — Józef Wiech. Krawcem był przed wojną i podczas okupa- cji. Pamiętam jego pracownię w Kielcach przy bocznej uliczce, w niskiej izbie. Pamię- tam, jak pan Józef chętnie przerywał robotę ilekroć nadarzała się okazja do „pomó- wienia”. Samouk, z zawziętością zdobywał erudycję historyczną i jakże przepysznie za- rysował przy jej pomocy położenie stanu rzemieślniczego, on, który ukrył sztandar ce- chowy i księgę przed okupantem, on który nie przyjął mundurów niemieckich do szycia. Ale i on, jak inni, rozczłanił w londyńskiej prasie konspiracyjnej i on jak inni małomia- steczskowi rzemieślnicy wojował ideologicz- nie z socjalistą — malarzem, częstym tu go- ściem.

Nie widziałem się z nim od 3-ch lat. Czy- tał „Wies”, zawsze czytywał kilka pism. Pa- miętał o mnie. Aż go wreszcie pobudziły do napisania listu — wybory:

Gorzów Wlkp. 2.I.1947 r.
„Obywatelu Redaktorze!

Piszę do Was z Gorzowa z miasta, które jest uważane za stolicę Ziemi Lubuskiej. Do Gorzowa ściągnęła mnie nienawiść do Niem- ców. Jak tylko przeczytałem w prasie nawo- tywanie rządu, aby załudniać ziemię odzy- skane, zaraz zacząłem likwidować swoją pra-

cownię i oglądać się za miejscowością, w któ- rej bym mógł osiąść. Na Gorzów zdecydo- wałem się dlatego, że to 130 klm. od Berli- na. Na Dolnym Śląsku mógłbym korzystniej się osiedlić, bo tu to nie po Niemcach nie za- stałem wszystko oszabrowane już było, lecz cieszę się, że swoją skromną osobą i małą pracownią mogłem się przyczynić do zału- dnienia tych ziem.

Nawet muszę się pochwalić, że odniosłem tu pewien sukces, a mianowicie w wyborach do Cechu zostałem wybrany starszym cechu.

Ja doskonale to rozumiem, że my żyjemy w takich czasach, które analogie mogą znaleźć tylko w XIII wieku, kiedy to po odpięciu nawały wschodnio tatarskiej, Polska przed- stawiała obraz podobny do dzisiejszego: po- niszczone, popalone miasta i wsie, ludność wymordowana lub wywieziona w jasyr. Tylko dzisiaj ta ziemia możemy załudnić sa- mi, nie tak jak wtedy, że musieliśmy sprowa- dzać kolonistów Niemców, a później wciąż skutki tego odczuwaliśmy.

Czy Redaktor kandyduje ze Stronnictwa Ludowego w czasie wyborów do Sejmu? Je- żeli tak, to w jakim okręgu.

Miał Redaktor szczęście należeć do K. R. N. i wydawać takie znamienne uchwały jak upaństwowienie przemysłu i zniesienie du- żych własności ziemskich. Ciekawy jestem jak się ułoży przyszły Sejm, czy nie będzie tak jak pierwszy w 1923, gdzie nie było zgo- dy wśród stronnictw, aż przyszedł faszizm Piłsudskiego.

Niedługo czas już to pokaże.

Jeżeli Redaktor byłby kiedy na ziemi lubu- skiej to proszę zawitać do Gorzowa, do skrom- nego mistrza krawieckiego, który się kreśli wyrazami życzliwości.”

Trzeci znajomy. Partyzant Świętokrzyski. Syn chłopski z maturą, którego w kleszcze wziął od r. 1940 Z. W. Z. Niemców umiał bić mocno, ale i dla swoich, dla chłopów, miał ciężką rękę. Za co? Że podbierali mu rzuty angielskie. Nie zdając sobie sprawy stawał się coraz powolniejszym narzędziem w rękach sanacyjnego dowództwa. Wykonywał wojskową powinność — a z niej rola niena- wiść do własnej klasy, do chamów, które się waży przeciw „rządowi” i porządkowi kon- spiracyjnemu broń podnieść. W 45 roku skrył się, z początkiem 46 zbiegł za granicę. Od kilku miesięcy jest w Wojsku Polskim. Wrócił i zgłosił się. Wojsko go przyjęło. Przypadkiem dowiedziałem się o tym. To mój młodszy ko- lega — napisałem. Oto jego odpowiedź.

Nyssa, dn. 13.I.47 r.

„Kolego!

Tak, macie rację — przeszedłem pewną ewolucję — nawet do pewnego stopnia kry- zys duchowy. Nie uważam tego jednak za kapitulację, a raczej jako zdolność oceny wła- ściwych i logicznych zjawisk w życiu. Poza tym przeszedłem wielkie rozczarowanie. Trudno mi w tej chwili pisać o tym — byłoby to brutalnością — przecież jestem kombatantem A. K. — oczywiście w sensie przeszłości.

Byłem jakiś czas w ub. roku po „tamtej stronie”. Byłem dwa tygodnie w Paryżu i ja- kiś czas w Londynie. Zetknięcie się z tamtą rzeczywistością ostatecznie wpłynęło na moją decyzję — i ujawniłem się. Powiadam ostatecz- nie — bo przed tym brały mnie już osiągnięcia obecnego Rządu. I to jakie osiągnięcia! Mnie jako akowców ciężko było początkowo przy- znać się przed samym sobą, że Wy tak do- brze potraficie gospodarzyć.”

Czytelnicy, pomyślcie o swoich znajomych, a w pełni zrozumiecie do jakiego stopnia po- sunął się w kraju proces „przyswojenia so- bie” dokonanych reform i kierunku nowej Polski Ludowej.

J. A. KRÓL.

*) Patrz: I część — „Rolnictwo w planie odbudowy gospodarczej”, „Wies” nr 4(83).

kiej, pozwoli na pełniejsze wykorzystanie zbiorów, i co najważniejsze w naszych warunkach gospodarczych — złagodzi ten głód rąk roboczych, jakie rolnictwo nasze będzie coraz silniej odczuwać. Plan Odbudowy Gospodarczej słusznie kładzie duży nacisk na zaopatrzenie rolnictwa w maszyny i narzędzia. **Potrojenie** w okresie Planu produkcji maszyn rolniczych i dążenie do wyprodukowania takich typów, które najpełniej dadzą się wykorzystać w gospodarstwach chłopskich, wymaga specjalnego podkreślenia.

Z mechanizacją rolnictwa wiąże się ściśle sprawa elektryfikacji wsi. Bez dostarczenia wsi taniej energii, jako źródła siły, trudno mówić o unowocześnieniu rolnictwa, a w dodatku sprawa ta ma inny aspekt. W naszym klimacie elektryfikacja wsi jest dostarczeniem światła na wieś, którego brak, zwłaszcza w miesiącach zimowych, tak dotkliwie odbija się na oświacie ogólnej i zawodowej, oraz utrudnia zajmowanie się ludności rolniczej rzemiosłem i innymi zajęciami nie-rolniczymi w martwych dla rolnictwa sezonach.

Plan Odbudowy Gospodarczej niedostatecznie kładzie nacisk na rozwój przetwórstwa i przemysłu rolnego. Rozwój tego przemysłu stanowi warunek pełnego wykorzystania surowców, energii i pracy, daje olbrzymie oszczędności w transporcie, tej pięcie Achillesowej naszego gospodarstwa narodowego, ma olbrzymi wpływ na podniesienie jakości odżywiania ludności miejskiej i wiejskiej. Nie trzeba dodawać, że rozwój przemysłu rolnego i przetwórstwa ma olbrzymi wpływ na dochodowość gospodarstw chłopskich i całego rolnictwa. Obecny podział dochodu społecznego, przy którym warstwa pośrednia posiada zbyt duży udział, wynika właśnie z niedostatecznego zrozumienia znaczenia przemysłu rolnego i przetwórstwa dla wsi.

Do przemysłu rolnego zaliczam przemysł: a) oparte na surowcu rolniczym, b) dostarczające odpadków i produktów ubocznych, niezbędnych dla rolnictwa.

Należą do nich:
przemysł cukrowniczy
przemysł mleczarski
przemysł gorzelniany
przemysł młynski
przemysł konserwowy - mięsny
przemysł konserwowy - owocarsko-warzywniczy
przemysł olejarski
przemysł ziemniaczany.

Poszczególne działy przemysłu rolnego winny być zorganizowane w przymusowych zrzeszeniach branżowych bez względu na osobę właściciela. Ponieważ głównym dysponentem przemysłu rolnego na zasadzie ustawy o nacjonalizacji przemysłu jest spółdzielczość, głos spółdzielczości w tych zrzeszeniach powinien być dominujący. Głównym zadaniem tych zrzeszeń jest planowanie i kontrola produkcji oraz utrzymanie sprawności technicznej aparatu produkcyjnego. Dotychczasowe szczupłe jeszcze doświadczenia np. ze Zrzeszeniem Producentów Spirytusu — pozwalają rokować jak najlepsze nadzieje. O organizację branżową walają dziś i inne działy przemysłu rolnego, jak np. młyny, przetwórnictwo owocarsko-warzywnicze.

Istnienie przymusowych zrzeszeń branżowych nie uszczupla w niczym spółdzielczości. Wymiana towarowa między wsią i miastem stanowi domnę spółdzielczości, a ściślej mówiąc — Spółdzielczej Centrali Gospodarczej, opartej o sieć powiatowych, samorządowych hurtowni powiatowych oraz gminnych spółdzielni Samopomocy Chłopskiej w terenie. Zrzeszenia branżowe przemysłu rolnego nie stanowią żadnej konkurencji dla aparatu spółdzielczego, a przeciwnie posługują się nim zarówno w zdobywaniu surowca, jak i w zdobywaniu swoich przetworów.

System gospodarki planowej wymaga wpływu na całość gospodarki a nie da się tego wpływu uzyskać, jeśli Państwo i spółdzielczość będą dysponować w przemyśle rolnym tylko pewną ilością t. zw. kluczowych obiektów. Prze-

mysł rolny, pracujący na surowcu krajowym, dostarczany przez gospodarstwa chłopskie, nawet gdy będzie miał charakter przemysłu lokalnego, będzie miał zawsze wyższość nad obiektami przemysłu rolnego wielkimi kluczowymi, położonymi zdala od źródeł surowca. Wywieranie przez spółdzielczość wpływu np. tylko na młyny kluczowe, może pozbawić ją wpływu na obrót mąką w całym kraju.

D) Organizacja Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych.

W związku ze zmianą ustroju i przejściem do systemu gospodarki planowej, zasadniczej zmianie uległ musi organizacja Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych.

W Polsce jak i w większości państw europejskich ministerstwo to powstało z zarządu dóbr państwowych stanowiących niegdyś własność korony. Z czasem doszły do tego stworzone w ustroju kapitalistycznym funkcje administracji rolniej (kontrola obrotu ziemią, licencjonowanie hodowli itp.), używano również tego aparatu w momentach krytycznych do doraźnych interwencji państwa na terenie rolnictwa — przeważnie w momentach zagrożenia interesów obywateli.

W warunkach ówczesnego ustroju wpływ Ministerstwa R. i R. R. na produkcję rolną był prawie żaden. Zmiany w rolnictwie były dziełem dobrowolnych organizacji rolniczych, ale wszystkie one oparte były na ziemiach służących tylko ich interesom.

Po wyzwoleniu przedwojenny aparat Ministerstwa R. i R. R. zarówno przez swój skład klasowy jak i dotychczasowe tradycje pracy okazał się całkowicie nieprzydatny do przeprowadzenia reformy rolniej. Dokonała się ona przy pomocy aparatu społecznego poza Ministerstwem Rolnictwa i R. R. a brak fachowców rolniczych z poza klasy ziemniarskiej utrudniał w wysokiej mierze przeprowadzenie zamierzeń rządu demokratycznego po linii poprawy sytuacji gospodarstw chłopskich.

Jeśli do tego dodamy powstanie nowych ministerstw (Aprovizacji i Handlu, Leśnictwa, Ziemi Odzyskanych, Handlu Zagranicznego i Żegluga, Odbudowy i t.p.), które przejęły część dotychczasowych funkcji Ministerstwa R. i R. R. ale bez ścisłego zorganizowania kompetencji — to otrzymamy w rezultacie dość ponury obraz państwowego ośrodka dyspozycji dla rolnictwa.

Ten stan rzeczy w szybkim czasie musi ulegć zmianie. Kierownictwo i cały aparat Ministerstwa R. i R. R. musi być oczyszczone z elementów przeciwnych demokracji ludowej a zakres i jego organizacja pracy dostosowany do potrzeb gospodarki planowej.

Przed Ministerstwem Rolnictwa i Reform Rolnych w systemie gospodarki stoja następujące zadania:

1. przebudowa ustroju rolnego,
2. planowanie i organizacja produkcji rolniej i przemysłu rolnego,
3. kontrola planów produkcyjnych rolnictwa i przemysłu rolnego,
4. finansowanie rolnictwa i przemysłu rolnego,
5. rozwój nauki i oświaty rolniczej,
6. prowadzenie państwowych przedsiębiorstw rolniczych,
7. wykonywanie administracji rolniej.

W zarządzie centralnym odpowiednikiem tych zadań byłyby odpowiednie departamenty. Administracja rolna, przebudowa ustroju i oświata rolnicza w I i II instancji powinny być zespolone z władzami administracji ogólnej. Wojewódzkie i Powiatowe Urzędy Ziemi skie wchodzić winny w skład Urzędów Wojewódzkich i Starostw.

Wykonanie planu produkcji rolniej spoczywać winno na Związku Samopomocy Chłopskiej, dysponującym do tego celu odpowiednim zespołem pracowników agronomii społecznej i aparatem spółdzielczym.

Taka struktura przy ustaleniu podstaw organizacyjnych i norm prawnych poszczególnych dziedzin rolnictwa i przemysłu rolnego pozwoli na sprawne funkcjonowanie państwowego ośrodka dyspozycji dla rolnictwa, jakim powin-

no być Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych.

E) Rola organizacji zawodowej chłopskiej.

Związek Samopomocy Chłopskiej obok spółdzielczości jest tym najważniejszym instrumentem, dzięki któremu można sobie zapewnić dyspozycyjność prywatnych gospodarstw chłopskich w ramach planu państwowego. Związek Samopomocy Chłopskiej bowiem jako federacja zrzeszeń branżowych producentów rolnych współpracujących jako czynnik społeczny w układaniu i realizacji planu oraz informuje państwowy ośrodek planowania o potrzebach i możliwościach poszczególnych terenów i branż. Dysponując zaś zarówno fachowym aparatem pracowników agronomii społecznej, jak również i aparatem spółdzielczości chłopskiej, ma możność wpływu na kierunek, jakość i ilość produkcji rolniczej w Polsce.

W ten sposób Plan Odbudowy Gospodarczej staje się ramami, które wypełnia samorządny wysiłek producentów, zrzeszonych w Związku Samopomocy Chłopskiej.

Ścisła współzależność spraw kulturalno - oświatowych i zdrowotnych z gospodarczymi sprawami, że Związek Samopomocy Chłopskiej musi z równą troską traktować gospodarkę wiejską w Polsce, jak i potrzeby kulturalne i zdrowotne wsi. Ujęcie w jednym Planie Odbudowy Gospodarczej zarówno inwestycji gospodarczych jak i kulturalno - oświatowych (np. sieć szkół rolniczych, szpitali, ośrodków zdrowia i t.p.) należy przyjąć z dużym uznaniem, chodzi bowiem o to, aby z podnoszeniem się produkcji rolniej rosła w tym samym tempie możliwość zaspokojenia potrzeb kulturalnych wsi.

Wielka rola Związku Samopomocy Chłopskiej w realizacji Planu Odbudowy Gospodarczej jest wyrazem demokratyzacji życia gospodarczego i społecznego wsi, co jest naczelnym zadaniem Państwa Ludowego.

F) Warunki realizacji Planu.

Realizacja Planu Odbudowy Gospodarczej zależy od wielu warunków. Na wszystkie z nich mamy wpływ. Wymaga bowiem z jednej strony trwałego układu sił politycznych na arenie międzynarodowej i wewnętrznej, układu korzystnego dla mas ludowych, w których interesie planowanie się odbywa. Wymaga zwiększenia udziału Polski w międzynarodowej, a zwłaszcza sąsiedzkiej wymianie. W dziedzinie wewnętrznej utrzymanie podstawowych reform społecznych i Rządu Ludowego jest równie jednym z podstawowych warunków realizacji Planu, co sprawa, że wszyscy, którzy na serio myślą o wprowadzeniu w Polsce zasad gospodarki planowej, nie mogą obojętnie odnieść się do aktualnych podstawowych zagadnień politycznych.

O realizacji Planu zadecyduje również wybór właściwych form organizacyjnych. Ustrój gospodarczy Polski, który da się określić jako system gospodarki demokratycznej mieszanej, składającej się z trzech sektorów: państwowego, spółdzielczego i prywatnego, wymaga odpowiednich form organizacyjnych. W tej dziedzinie specjalnie na odcinku rolniczym jest wiele do zrobienia. Dotychczasowe np. systemy organizacyjne handlu zbożem, mięsem, działalność P.P.T. i M.R. — nie są zadowalające.

Kontrola mas ludowych wyrażająca się w udziale przy planowaniu i realizacji Planu organizacji zawodowych, społecznych, Rad Narodowych jest również jednym z warunków powodzenia i pełnego wykonania Planu.

Dotychczasowe wyniki w odbudowie kraju i organizacji państwa demokratycznego pozwalają mieć pewność, że masy ludowe najżywiej zainteresowane powodzeniem planu, wykazują dostateczną niechęć do inicjatywę w kierunku realizacji tego Planu i znajdują w sobie dość siły dla przełamania tych wszystkich trudności, jakie grozić mogą urzeczywistnieniu Planu Odbudowy Gospodar-

czej, tak jak znalazły dość inicjatywę i siły, aby wprowadzić i utrzymać podstawowe reformy społeczne.

G) Wyniki Planu.

Wyniki Planu wyrażone w konkretnych cyfrach, ilustrujących czy to wzrost produkcji rolniej, czy to wzrost dochodu na głowę ludności rolniczej, czy inne sprawy, mieć będą charakter nie tylko ilościowych osiągnięć. Plan Odbudowy Gospodarczej doprowadzi w swoich wynikach do głębokich zmian w całości rolnictwa w Polsce i w każdym gospodarstwie chłopskim z osobna. Wyrażają się one:

a) w zmianie struktury agrarnej, która utrzyma w Polsce jednorodzinne gospodarstwo chłopskie, jako podstawowy typ gospodarstwa rolnego;

b) utrzyma jego egzystencję w nowej funkcji gospodarczej:

- 1) produkcji wyspecjalizowanej na zbył, w produkcji towarowej,
- 2) włączonej w odpowiedni związek branżowy, w odpowiednią gałąź przemysłu i określony stały rynek zbytu,
- 3) włączonej w społeczną wymianę towarową — spółdzielczość,
- 4) opartej o rozwój przemysłu rolnego i
- 5) funkcje ludowego Ministerstwa Rolnictwa w pełnym Planie Gospodarczym narodu.

c) demokratyzacji życia gospodarczego i społecznego wsi, polegającej na współrzędzeniu, współdecydowaniu i współrealizowaniu;

d) w przestawieniu rolnictwa naszego na najbardziej właściwe i opłacalne dla Polski uprawy i hodowle oraz na krajowy przemysł rolny, co wyzwoli nas z roli kolonii, dostarczającej na rynki zagraniczne samych surowców i najmniej opłacalnych surowców.

e) w zmianie struktury zawodowej, wyrażającej się w odplywie ludności rolniczej do zajęć nierolniczych;

f) a tym samym w zwiększeniu dochodu społecznego ludności rolniczej i podniesieniu poziomu życia i dobrobytu ludności wiejskiej.

g) w powiększeniu kadr pracowników rolniczych na wsi, co podniesie stan kultury materialnej i duchowej chłopów i wyrówna różnice między miastem a wsią, tworząc jednolity technicznie, społecznie i kulturalnie naród polski na drodze jego nowej, wielkiej przyszłości.

Dlatego problemy organizacyjne rolnictwa i właściwe ich rozwiązanie muszą skupić na sobie uwagę wszystkich planistów w Polsce.

Stanisław Cieślak.

UNIwersytet Ludowy w Brusie k/ŁODZI

Dnia 3 marca 1947 rozpocznie pracę III — czteromiesięczny kurs w Brusie. Chcemy się porozumieć bliżej z Koleżankami i Kolegami, którzy na ten kurs przyjadą, gdyż wobec zmienionych warunków ogólnych musieliśmy też zmienić wymagania.

Pierwsze wymagania to żywe i szczere zainteresowanie się pracą teatralną. Brus na 3-im kursie będzie tę pracę o wiele poważniej prowadził. Na kursach poprzednich było zbyt wielu ludzi niezdecydowanych co do zainteresowań swoich i planów.

Drugie wymaganie to wiek nie niższy jak 18 lat i nie wyższy jak 30 lat. Wreszcie wymaganie trzecie dotyczy opłat. Chcemy wejść na drogę samodzielności w gospodarce internatu. Podnosimy więc opłatę miesięczną do 1.200 złotych.

Niechże to nie zniechęci ludzi zainteresowanych teatrem i zespołowym życiem Uniwersytetu Ludowego, przeciwnie niech ich pobudzi do żywego starania się o zorganizowanie stypendiów w Kołach, Związkach Oświatowych i Wojewódzkich.

Zgłoszenia należy nadsyłać do dnia 20 lutego pod adresem Uniwersytetu Ludowego w Brusie k/Łodzi — p-ta Konstantynów.

Należy koniecznie czekać na odpowiedź. Zależy nam bardzo na tym, aby ochny na kurs w Brusie nabrali Koleżdy i Koleżanki muzycalni i aby przywieźli z sobą instrumenty muzyczne.

Każdy kurs w Brusie bywa często w do- brych teatrach Łodzi, odwiedza zespoły robotnicze i odbywa wycieczki, z których ostatnia do Gaci Przeworskiej jest organizowana w celu przeżycia uroczystego zakończenia bruckiego kursu na Gackiej Górze. Brus należy do Związku byłych Wychowanków Szye i Gaci.

Zofia Solarzowa.

MARCYŚIA ni miała już potrzeby wystawać i rozdziawiać ziaje. Pon Maślanka minął kapliczkę, Chyzo podyrdała do kuchni ku mamie — ale po niem wysi na trowę i dosiela nie wrócili jesce. Markotno — pogazdowała sie sama. Zażrała do zaleźnioków: co tyz jest na obiod? Skrzywiła sie: zimioki i cyr jak zawdy!

— Nie bedę cyni jadła! — giebuzała tyskom zdelezowano: odstawiła zeleźnioczek koło kociolka.

— Skumundy byś no jadła — placusie piecone na blasę — dogryzoł jij brat.

Wojtkowe godanie ją nie obchodziło. Niek sie ta wywodzi to mu przedzie. Zabrała sie do rynecki z zimiokami. Pyprala po nik jak ta niewydarzono świnka: nie pokłócone... rozfarowane... Wycyniła zimioki na psi trzopek lo Niewiema.

Z kociolka naloła wody do cebrzyka i pomyła grotę. Dwie gliniane miski położyła na półce. Drewniane łyski i dwa rogołe zawiesiła na tyżniku.



Na gościńcu dary sie dzieciska. Krzyki nad „cyganem ftóry spi a potem wstaje i kluski rozdaje” wygnały i Marcysię do halajstry. Akuracik medytowała cy sie przyłacyć do „chowanego” cy do „przybijanego” cy do „erliczek perliczek” cy do chodarów co grały w pliski, kiedy bez okno wrzosnało przerażliwie:

— La la la!

Zosia sie obudziła i daria sie jak odmieniony bez mamony bachór.

— Juz sie ta bołda picy! — zatrzesia sie dziopina setnie — Musę isc ku ni...

Mama przysli z trawom. Podoili krowę, przecedzili mlyko i płukali powąskę w skopeu.

— Dziojs, dziojs! — cudowali sie. — Coz cie tela casy nie byto widać?

Marcysia sie przysiadła na skrzyni. Podwinęła pod sie nogi, ręce wsturlała pod brode — i zaczęło sie opowiadanie. Było o cem opowiadać, wej bylo! Cuda jakie widziela w kościele były nojciekawse:

— Piyknie tys to w tem kościele piyknie! Ludzi jak w odpust! Utorz barz piykny! Wiele kwiotków, światolek i skłacyk bawidolek! A wiele janiolów...! Jarchanioły, cherobiny, serafiny, jakoimy i jesce inkse... I zydy z brodami. Janioły i zydy! Nawet lucypera widziela i styry węze. Jak piyknie gro muzyka...! Jak piyknie ludzie spiywają...! Ksiadz przekłado wielgą ksiązkę z jedne strony utorza na druga. Ni moze widać znalyść miejsca lo takie wielgachne ksiązki... wszedy mu nieporęcznie... Ksiadz spiywo barz piyknie — ale dziwacnie; po jakimus to?

— Po świętemu — złożyli mama naboznie ręce; zaczęli septać paciyrz.

Marcysia pożrała ku matce i roześmiała sie:

— Ni mocie sie cego modlić bo ksiadz roz zaspiywoł tak brysko ze musialam sie zawstydzic za niego.

— No jakze?

— Sikula sikuloron — odpedziła odwoznie.

— To jest po łacinie! — chlasnął ją bez łeb Wojtek.

A, po łacinie... cudacnie!

Widzielał malego chodoka koło księdza? Służył do mse. To mój kolega — przekwołoił sie brat.

— Widziela, widziela! W białe kosulinie z koronkami był; dzwonił dzwonekiem jarze w usak dzindziola: dzień dzień dzień! dzień dzień dzień! Jak ino zadzwonił klękali ludzie; wtedy kucała. Jaz ją jakoś dziopka sturła z zadu. Zewstydziła się, klękła na rapty — i tak przeżgała juz do samego końca.

Palce Marcysi pastwiące się nad „Ch” utknęły w miejscu. Piłka mieniąc się kolorowo biegnie szybko ku furcie. Wpadła w kurytarz. Odbija się czerwona połacia o ciężką klasztorną bramę. W tym momencie wywiązała się walka między Mancią i Kundzią. W zapalczywości wyrwywają sobie wzajemnie piłkę. Inne uczennice korzystają z okazji pociągając kilkakrotnie

Zofia Kościńska

CHAMKA

Fragmni powieści pt. „Wychowawcy”

za dzwonek uwiązany na lince. I uciezione z wyrządzonego furtjance psikusia ciekają natychmiast pędem w podwórze. Pierwszoklasistki przerwały piskliwe koło i przyglądają się z zachwytem psotom starszych koleżanek. Nawet odrącana dziewczynka o ulizanych z wiejska warkoczach oderwała się od ściany i klaszcze w rączki. Przez twarz Marcysi przewinał się przebiegły uśmiech. — Pobiegnać? W ogólnym zamieszaniu wtłoczy niepostrzeżenie intruza do koła. Pobiegnać? Ale stoi nieruchomo przy oknie. Pobiegnać?

Z rozdziawionymi ustami przyglądała się psotom koleżanek. Inne uczennice pociągają za dzwonek uwiązany na lince. Doskakują jedna przez drugą. Dzwonią bez przerwy.

Po chwili furtianka wyglądneła przez małe okratowane okienko. Dzwiecząc pękami kluczy, zaczęła otwierać powoli ciężką bramę.

Marcysia zawahała się na moment; nagle rzuca się także wraz z innymi towarzyszkami do otwartych, czarnych, tajemniczych wrót. Biegąc z przestachem przez długie klasztorne korytarze zatrzymała się pod wskazanymi jej drzwiami. Jak złodziej wchodzi po chwili cicho do klasy. Koszyczek trzyma przed sobą na piersiach.

Rozkrzyczane, obce dziewczynki obrzucają nieśmiało, stojącą koło drzwi rówieśniczkę niechętnymi oczami.

— Patrzcie, patrzcie jeszcze jedna! — poszturkują się. — Ze wsić — chichają.

Bezczelniejsze podbiegają ku dziewczynce i zaglądają jej do koszyczka.

— Po wiele jajka gosposiu? — pytają ze śmiechem.

Wkrótce żarty niektórych udzielają się wszystkim.

— Po wiele jajka gosposiu? — trzęsie się cała klasa od śmiechu.

Na odgłos dzwonka weszła nauczycielka i przerwała ogólną wesołość rozkazem:

— Spokój!

Nauczycielka posadziła Marcysię w ostatniej jeszcze pustej ławce.

W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego...

W tej chwili ręce Marcysi zacisnęły się w pięści na szybie. Błada, wiejska dziewczynka w długiej i obszernej spodnicy widocznie rozbawiona psotami uczennic nabrała większej pewności siebie. Wyszła się śmiało pod wirujące koło. Biega to tu, to tam. Chce przerwać obce i sztywne dlonie. Przerzywa w każdym miejscu. Czepia się rozpaczliwie kota. Niestety nadaremno. Małeńkie ręce splatają się mocno. Sciskają się z uporem. Odrącają intruza brutalnymi słowami: „Ty nie masz pary! Ty jesteś ze wsi! Śmierdzi od ciebie! Idź stąd!” Wyprzedzają ją jak parszywe szczenie. Jak szczenie. Zwinęte w kulak palce Marcysi wpiły się paznokciami w lnię życia biegnącą środkiem śródrecza. Wpiły się aż do bólu. Pobiegnać? Ale stoi jak przykuta przy oknie. Raptem rozluźniła dlonie i zaczęła z zapalem malować artystyczne zakrętasz inicjałów. Pobiegnać?

Wracała ze szkoły przygarbiona i smutna. A dal dziedzińca szkolnego zasnuwają kasztany. W świetle jesiennego południa liście żółkniejących drzew zielenią się na jasno. Wypogodzone niebo bieli szare kamienie nędżnych małomiasteczkowych tuiarów. Ale nawet charakter zalanego słońcem krajobrazu nie wpłynął dodatnio na stan jej przybitej, młodzikięj duszy. Krajobraz był jej obcy. Bo całą uwagę skupiła na trzymających się za ręce koleżankach, które śpiewały piosenkę wyuczoną w ochronce:



Ilustr. A. Strumillo

— Jaskółeczka pod bramą

Wciąż uwija się w kółko.

W końcowej strofie piosenki „ja urosnę tak duża” Mancia z Kundzią podskakują w górę i pokazują rękami wielkość marzeń dorastania.

Marcysia czasami biegnie szybciej. Podbiega bliżej. Nadeptuje dziewczynkom na pięty. Chciwie obserwuje połączone dłonie. Zrównała się z nimi.

— Jaskółeczka pod bramom — powtarza cichutko za koleżankami słowa piosenki.

Niezadowolony orszak przystanął. Odwraca się frontem ku dziewczynce. Prowadzka i największa krzykaczka Mancia odrąca intruza brutalnie:

— Kacalonka przylepiaczka!

— Nie potrzebujemy ogonka! — sekundują dzielnie przewodnicze towarzyszek.

Odrącona zwolniła kroku. Zostaje w tyle osowiła:

— Kciałaby sie trzymać z dziopkami za ręce i spiywać o jaskółeczce... Niesła by jom za to torby zeby jom lekczy bylo. Chojco by jom dała... Placka?... Placka by nie wzięły — mają białe chłby z masłem! Jutro przyniesie bobu pieconego. Upiece na żółto i różowo. Nie przypoli! Manci i Kondzi do nojwiecyj... całą gosz! Wtencos podą s niom... Bedzie ik trzymała za ręce i spiywała o jaskółeczce! Bedzie!

...bedzie bedzie bedzie — posuwają się wprawnie wskazujące palce siedmioklasistki po szybie — bedzie bedzie bedzie —

Wtem piłka uderzyła o futrynę okna. W ślad za piłką podbiegła pod okno Stasia Mańkówna. Dojrzawszy sterczącą samotnie za kratkami Marcysię wywiesiła na pół uietra język. I roześmiana znikła za węgiem budynku. A wiejska dziewczynka w parchanowej bluzce po siostrze, zniechęcona daremnym wysiłkiem wkręcania się do koła stoi znów przykulona pod ścianą z wciśniętymi pod brode piastkami. Wokoło serca Marcysi opłata się jakaś dziwna obrzydła żalosc. Ale patrzy za Stasią Mańkówną, która znikła za węgiem budynku. Pobiegnać? Pobiegnać?

Przemierzała kwadratowy rynek zapełniony żydowskimi sklepami. Za narożną, dużą apteką której okno wystawowe lśniło ukazując posąg półnagiej panny, widnokrąg rozszerza się. Szeroki gościńiec! Daleki gościńiec zasypany śniegiem, pokryty półkolami zasp! Półkola powiększają się. Śnieg sypie i sypie... Osłada błyskiem gwiazdek na bryłkim kabocie po Jontku Pyszchalo-ku. Kryje plamy i polatane miejsca. Co?? Nasypał do koszyczka! Marcysia wchodzi pośpiesznie do pobliskiej bramy. Zamazane? Czerwonymi jak raki rękami wyjmuję z kobałki tabliczkę. Stoi długo nad tabliczką. Zamazane!

Zza węgla domku wybiegają koleżanki. Tabliczki łomotają w twardych skórzanych torbach. Spojrzały w bramę. Zwalniają kroku. Marcysia nie może wracać z powrotem do domu. Nie schowała się głębiej w bramę. Było za późno. Widziały ją koleżanki!

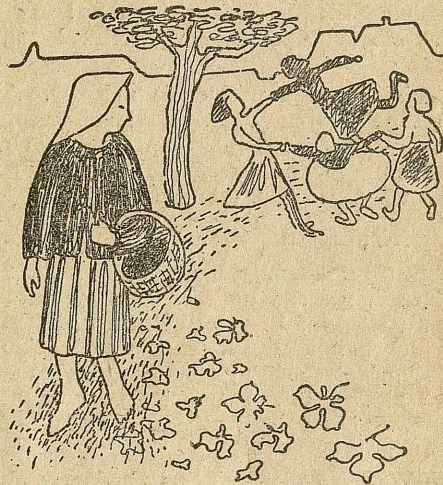
Wczoraj był święty Mikołaj. Marcysia nie dostała. Jak i przedtem. Jak zawsze. Koleżanki dostały pod poduszkę różności. Bo nie są biednymi dziećmi. Nie, dobry ten święty Mikołaj. Święty?... Na pewno nie. Tylko udaje świętego. Marcysia wychodzi z bramy. Spieszny za dziewczynkami ku klasztornej furcie. Biegnie. Może zdąży. A na wystawie u Rómka są grube zeszyty. Bruliony! Dopiero w drodze ze szkoły, poogląda. Na drugi rok będzie miała brulion! Szurowadła trzewików wysuwają się zza cholewek i bielą się źle uczernionymi kluczkami. Marcysia przykuca.

Wciąż sznurki za cholewki. Ale zmarnięte ręce odmawiają jej posłuszeństwa. Wsty dzi się sznurowadei, jednak prostuje plecy — i biegnie. Musi zdążyć. Wbiega na szkolne podwórze. Od studni z pompą słychać już krzyki. Jeszcze czas! Jeszcze daleko do dzwonka! Zdąży!

Koleżanki wyglądają z okratowanych okien klasy. Wszystkie się zgrupowały przy kratkach. Zachwycają się miękkimi poduchami zasp. Marcysia zmarniętymi rękami stawia litery na mokrej jeszcze tabliczce. Może zdąży? Kaligrafuje nierówno:

— cza—pla cza—pla cza—pla
czo—to czo—to czo—to
cze—ładz cze—ładz cze—ładz

Znudzona krajobrazem Stasia Mańkówna odwróciła się od okna. Spojrzała pod piec



ku osłej ławie — i natychmiast odkryła przestępczynię. Podniecona odkryciem postąpiła parę kroków w przód. Wyciąga przed siebie rękę. I porusza rytmicznie, do taktu paluszkami:

— Ej ej po—wiem pa—ni! po—wiem pa—ni!

Jak na komendę wszystkie uczennice odwracają się także od okien. Zdumione spojrzenia posyłają pod piec. I jak małpki zaczynają dyrygować palcami chóralnie:

— Ej ej powiem pa—ni po—wiem pa—ni po—wiem pa—ni!

Koleżanka z poprzedniej ławki zajęła z zapalem swoje miejsce. Odwraca się ku Marcysi; pośliniła dwa palce i maże po tabliczce.

Glaska po cza—pli. Uderza w czo—to. Pluje na cze—ładz.

Do klasy weszła nauczycielka. Rozgląda się gniewnie po uczennicach:

— Co się tu dzieje? Co to za krzyki?

Z trzydziestu czterech nierozwiniętych klatek piersiowych wyrwał się pisk:

— Kacala znowu dzisiaj nie ma zadania!

Niechętnie spojrzenie nauczycielki zatrzymuje się na Marcysi:

— Proszę o spokój! Nie skarżyc! Donosicielstwo jest brzydką wadą!

Zmieszane skarżypypy spuszczały głowy. Marcysia zakłada ręce za plecy; patrzyła w pania jak w wielki oltarz.

Po modlitwie i przeczytaniu katalogu padł od katedry rozkaz:

— Wyjąć tabliczki!

Wolnym krokiem przechadza się pani między uczennicami. Przed każdą ławką przystaje. Zatrzymuje na tabliczkach wzrok. Dokładnie lustruje zadania.

Marcysia rzuca ukradkowe spojrzenia na posuwającą się ku niej masywną o ostrych rysach i olbrzymim koku włosów postać nauczycielki. Trzęsie się cała ze strachu. Za każdym stuknięciem kroków wtula głębiej głowę w ramiona:

— Jest już w trzeciej... w czwartej... w piątej...

Wreszcie stanął nad dziewczynką strach. I wyciąga miękkie ręce ku tabliczce. Bada pregi na czapli, na czole i na czeladzi.

— Kacala znowu dzisiaj nie ma zadania?... Pewnie śnieg zasypał? — uśmiecha się z niedowierzaniem.

Zrażona drwiącym uśmiechem Marcysia poczuła całą swoją bezsilność wobec prawdy. Tępy wzrok utkwiła w rowkach porysowanej ławki, milezała.

— Czemu nie odpowiadasz?! — wydatny nos nauczycielki pąsowieje z oburzenia. — Jesteś upartym, niezdolnym bębem! Dlaczego nie masz zadania? Odpowiadaj! Kacala milczy.

Miękkie ręce nauczycielki kładą tabliczkę na ławce. Słodkiutkim głosem zwraca się do wypieszczonej, pięknie ubranej dziewczynki: —

— Wandeczko podaj trzcinke. — Następnie zwraca się do Marcysi:

— Za upór dostaniesz w łapę!

Trzas! trzas! trzas! trzas! — cztery razy. Cztery pregi na dloni.

Szybsze niż poprzednio kroki oddalają się ku katedrze z zadowoleniem.

Marcysia opadła na ławkę. I zakryła gorzącymi rękami zimną twarz. Nie płakała.

Drząc jakąś niezrozumiałą krzywdą dotykała suchych oczu; nabrzmiałymi pęgamy dłoni grzała sopol lodowatego noska!

Podczas przerwy rozigrane koleżanki bawią się w węża; niektóre zajądają biały chleb z masłem, bułki i ciastka. Marcysja została w klasie; czując dziwną obrzydłą żalostę siedzi wstydlwie w ławce. Wstydzi się nawet swojego jałowego, czarnego placaka. A tak chciała przed tem przekupić nim uczucia dziewczynek. Po malutkim kawaleczku skubie placek pod ławką. Niespokojnie patrzy w drzwi:

— Zeby wtore, dziopka nie dożrała placaka... zeby nikt placaka nie widział... Śmiały by się z niego jak wtore i przedwtore. Jak zawdy. Brzydząły by się jyj placaka!

W uchylonych drzwiach ukazała się głowa nauczycielki:

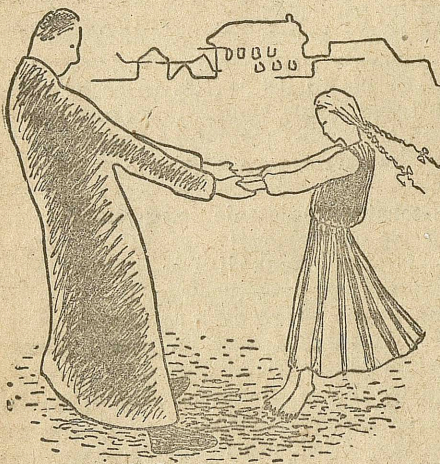
— Kociąla na pauzę! Do węża! Nawet do zabawy nie jesteś skora! Cjapa!

Rytmiczny tupot nóg wystukiwał marsza.

Kociąla wyszła posłusznie z klasy. Ale niema ochoty na węża. Musi się czepiać węża — bo chce dogodzić pani. Nie chce już być upartym, nieznosnym bębnem. Przerzywa węża z musu. Ale nie czepia się już rozpaczliwie obcych i zimnych rąk koleżanek — jak przedtem. Nie biega to tu, to tam. Czepia się z musu. Żadna z dziewczynek nie rozluźniła ręki. I dobrze. Chodzą w takt śpiewu złęczone mocno pańskim uściskiem. Jak dobrze! Marcysja stanęła pod ścianą. I wstydzi się swojej chamskości. Ma dopiero siedem lat. I smuci się swoją starością. Rozważa na chłodno. Krytycznie. I po szusności:

— Wstydzą się mnie, bo chodzę w chusteczce, w długiej spodnicy i w okładanym kabocie po Jontku Piyrzchaloku. Podorkają mnóm bo mama chodzą w chustce. Dokucają mi bo mama byli na wywiadówce w chustce. Hej — zeby to mamie kupić piykny kapelus! Płótkie trzewiki! Kapełus słomiany. Taki jak na wystawie w składnicy. Bez sydła!

Wykonując artystyczne wywijasy na szybie, wykonując je obiema rękami równocześnie, całe ciało Marcysi darył zagasłe wspomnienia i wsteczną drogą włókły się przed nią w bezradnym i lęklwym „Ch”. Przerwała. Przez chwilę wpatrywała się w śródpręż. Szukała śladów po razach. Lecz poduszkiwate dłonie były tylko lekko zaróżowione. Przez drgające rozczuleniem



pełne usta dziewczynki przeszedł promień uśmiechu. Bo spojrziała w podwórze. Nad opuszczoną bładą dziewczynką pochyliła się ksiądz dyrektor. Gładzi ulizane warkoczyki ściśnięte mocno skrawkiem. Ujmując wtulone pod brodę piastki. Robi kółeczko. Takie maleńkie kółko tylko we dwójkę. Wielkie buciska dziewczynki poruszają się w tańcu. Fruwają warkoczyki. Ponoszona powietrzem długa spódnica wiruje kopulasto. Dziewczynka śmieje się wraz z księdzem radośnie. Pyszałkowate koleżanki patrzają na wirującą parę z zazdrością. Podbiegają do intruza. Chcą ją łapać za ręce. Przez intruza chcą się wkraść w łaski księdza. Marcysja chowa się za futrynę okna. Pobiegnąć? Ale zerką ukradkiem w kraty. Pobiegnąć?

Pobiegnąć?

Z założonymi za plecy rękami patrzyła się w katedrę. Bo czarna sutanna księdza zlewa się z czernią tablicy. Tylko na sutannie nie ma czerwonych, poziomo usianych pasków. Ale miga czerwony olówek przytwierdzony do maleńkiego notesika z boku. Notesik jest taki maleńki, że mógłby być elementarzem dużej lalki Polki z leśniarki, którą nazwały cesarzową. A olówek tak; cieniutki jak czerwone paski tablicy gdy się patrzy na nie z daleka. Z ostatniej ławy, z pod pieca. Ksiądz katecheta przewraca powoli kartkę za kartką mały notesik. Przytym wydyma policzki po pańsku.

— Kaciąla! — wyrwał Marysię donośnym głosem ksiądz proboszcza rzucającego gromy z ambony podczas sumy.

Znienacka wyrwana prawie nieprzytomnie podnosi się z ławki. Przyciska dłoń do

dłoni. Splotła prawidłowo ręce do odpowiedzi.

— Zmów mi — dziecko ładnie, bez kania „Wierzę w Boga Ojca” — ksiądz ścisza głos prawie do szeptu i przechyla głowę w bok, ruchem spowiednika w konfesjonale.

Oczy uczennicy nabierają większej pewnością siebie. Patrzy na katechetę jak na nieszkodliwego księdza podczas cichej mszy przy ołtarzu. Powoli zaczęła:

— Wierzę w Boga Łojca... pod Pąckiem Piulatem...

Na dobrze odżywionej, rumianej twarzy księdza ukazał się na moment uśmiech. I znikł w powadze.

— Pod jakim pąckiem? — baw; się czerwonym olóweczkiem. — Jak sobie to Kociąla wyobraża? Odpowiadać grzecznie i — prawdę!

— Jadłam u Polcie na leśniarce. Dostałam jaze osiem.

— To dużo. Smaczne były — prawda?

— Barz!

Katecheta kładzie olówek na stole. Dla dodania ważności rzucanego w ciemny umysł uczennicy światła wstał od katedry.

— Ale Poncki w pacierzu nie jest pąckiem na talerzu! Piłat Poncki jest takim samym nazwiskiem jak Kaciąla, Golonka, czy Gajda. Rozumiesz?

— Rozumię.

— Piłat Poncki jest katem, który ukrzyżował Pana Jezusa. Zrozumiano?! — podawał pokarm całej owczarni.

— Zrozumiano! — zabeczali owieczki.

Jak błyskawica opadł z piedestału katecheta. Podnosi sutannę w górę. Usiadł na blacie trzeciej ławki. Koło Wandy Gęskiej. Równa się z owieczkami.

I wtedy — o Zgrozo! — i Prawdo!

Na widok księży spodni Marcysia zamarlała w bezruchu. Jak tata! Jak wszystkie chłopcy. Dotychczas wyobrażała sobie że ksiądz ma długą, czarną sutannę i stopy. Jest jnym człowiekiem; duchownym, świę-

tym; przy ołtarzu jest Bogiem. Po takim odkryciu znika nimb niezwykłości. Cudu. Jak tata... jak wszystkie chłopcy... Ksiądz z wyobraźni Marcysi przechodzi do kategorii zwykłych, przeciętnych ludzi. Jak tata. Jak wszystkie chłopcy.

Marcysia włożyła znowu głowę w kraty. Przygłębiła klatką piersiową do okna i raz po raz parska śmiechem. Adorowana przez księdza dyrektora sztabaczka biegnie po podwórzu za piłką. Bawi się z seminarzystkami. Koleżanki chcą ją wciągnąć do koła. Nawołują. Błagają. Dziewczynka podnosi dumnie główkę. Traktuje koleżanki z wysoka i z daleka. Odsuwa od siebie szorstko zimne i mocne z koła ręce. Marcysia parska śmiechem. Pobiegnać? Pogłodziłaby małą po głowie. Ale stoi przy oknie cała roześmiana. Pobiegnać?

C. d. n.
Marianna Kościńska

Kredytowanie spółdzielczości

Działalność i perspektywy B. G. S.

Zamieszczony we „Wsi” artykuł Kokożkiewicza omawia strukturę organizacyjną spółdzielczości wiejskiej. Aby zagadnienie to rozszerzyć drukujemy poniżej wywiad z członkiem Zarządu i sekretarzem generalnym Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, dyr. L. Pawłowskim. BGS jest jedyną w Polsce centralą finansową spółdzielczości, która powstała z połączenia Banku „Społem” z Centralną Kasą Spółek Rolniczych w lipcu ubiegłego roku i ma na celu finansowanie spółdzielni wszystkich typów.

Jak się przedstawia zapotrzebowanie na kredyt ze strony spółdzielni i w jakim stopniu BGS te potrzeby pokrywa?

Powojenny okres działalności spółdzielczości polska rozpoczęła niemal bez własnych środków obrotowych. W wyniku reformy walutowej rezerwy pieniężne zostały zamrożone, a posiadane niki zapasy towarów, uległy w znacznej mierze zniszczeniu na skutek działań wojennych. Kredyt bankowy stał się w tym stanie rzeczy punktem wyjścia dla działalności spółdzielni w odrodzonej Polsce. Obecnie stosunki te uległy znacznej poprawie, ale i dziś kapitały własne spółdzielni nie są wystarczające. Szczególnie wydatnej pomocy kredytowej potrzebuje Związek Gospodarczy Spółdzielni „Społem”, który z własnej inicjatywy i na zlecenie rządu przeprowadza, jako hurtownia, wielkie operacje handlowe. Zapotrzebowanie na kredyt było i jest pokrywane w 100 proc. w ramach obowiązujących wytycznych. W tej chwili z kredytu w BGS korzysta ponad 5500 instytucji spółdzielczych, a kwota wykorzystanych przez nie kredytów sięga prawie 12 miliardów złotych.

Jakimi przesłankami kieruje się BGS przy udzielaniu kredytu?

W Polsce Ludowej banki służą wyłącznie rozbudowie życia gospodarczego, sprawie podnoszenia ogólnego dobrobytu. Przy rozważaniu więc podań o kredyt Bank bada przede wszystkim celowość kredytu z punktu widzenia ogólnopolskiego planu gospodarczego i z punktu widzenia zamierzeń danej spółdzielni, bada następnie stan organizacyjny i majątkowy spółdzielni oraz zdolność kredytową w stosunku do posiadanych przez

nią funduszy własnych. To ostatnie kryterium jest stosowane bardziej liberalnie jedynie w stosunku do spółdzielni nowo założonych oraz do spółdzielni na Ziemiach Odzyskanych.

Nie biorą nam zapewne za złe nasi kredytobiorcy, że domagamy się od nich wzorowej gospodarki i mniej liczenia na kredyt, a więcej na własne środki zbierane od członków. Ta droga bowiem najszybciej zapewnimy należyty zasięg i mocne podstawy dla gospodarki spółdzielczej.

Jak przedstawia się udział spółdzielni Związku Samopomocy Chłopskiej w kredytach BGS?

Udział ten nie jest na razie duży. Przed spółdzielniami ZSCh. stoją rozległe i odpowiedzialne zadania, ale spółdzielnie te nie rozporządzają jeszcze dostateczną ilością środków finansowych i wskutek tego odpowiednia pomoc ze strony BGS jest konieczna. Pomoc ta musi być jednak udzielana także z dużą rozważą i w miarę tego, jak poszczególne spółdzielnie wypracowywać będą racjonalny plan gospodarczy i działalności i w miarę, jak w tych spółdzielniach powstawać będą organizacyjne warunki, gwarantujące realizację narzuconego sobie planu gospodarczego. Dotąd z kredytów w BGS korzysta 744 spółdzielni ZSCh z sumą przyznanego kredytu 223 miliony złotych. Ostatnio rozpoczęła swoją działalność i korzysta z kredytu u nas Spółdzielnia Budownictwa Wiejskiego ZSCh, mająca za zadanie popieranie odbudowy i przebudowy wsi przez dostarczanie na wieś materiałów budowlanych oraz pomocy instrukcyjnej.

Jak się przedstawia działalność BGS na Ziemiach Odzyskanych?

Bank zwrócił szczególną uwagę na szybką rozbudowę spółdzielczości na tych ziemiach. Niemał w ślad za walczącą armią przybyli na Ziemię Odzyskaną pełnomocnicy Banku i uruchomili na wyzwalanych terenach oddziały i agentury. Placówki te pomyślane były jako punkty finansowego oparcia zarówno dla organizowanych przez Związek Rewizyjnych spółdzielni, dla zakładanych na tych terenach oddziałów Związku „Społem”, jak i dla innych niespółdzielczych placówek gospodarczych. W tej chwili na Ziemiach Odzyskanych działa 49 placówek naszego Banku,

zatrudniających 329 osób. Placówki te są na razie przeważnie deficytowe, spełniają jednak poważną misję organizacyjną i gospodarczą. W dotychczasowym okresie swej działalności zebrały one wkładów ponad 455 milionów złotych i udzieliły 1076 instytucjom spółdzielczym ponad 712 milionów zł kredytu. Przeważają one również żywą działalność przekazowo - rozrachunkową, organizując obrót bezgotówkowy. Personel placówek BGS współdziała również w zakładaniu nowych spółdzielni i prowadzi działalność instrukcyjną w zakresie gospodarki pieniężnej. W ten sposób BGS dorzucił swoją cegiełkę do budowy polskiej bankowości na ziemiach, które były do niedawna pokryte siecią banków niemieckich.

A jak przedstawia się całokształt działalności BGS z perspektywy ostatnich dwu lat?

Dwa lata, to zbyt mało, by wytworzyć perspektywę. Poza tym jako BGS pracujemy dopiero od lipca ub. r. Okres niepodległości rozpoczął się finansowo od zera. Jedyny nasz aktyw uratowany z pożogi wojennej, to ideaowy zespół współpracowników oraz wieloletnie doświadczenie obu naszych połączonych obecnie instytucji bankowych. Mimo początkowych trudności, w ciągu niespełna dwuletniej działalności zgromadziłyśmy ponad 21 tysięcy wkładów, w tym około 15.000 instytucji spółdzielczych, związków zawodowych i innych. Suma zebranych wkładów przekroczyła 4 miliardy zł. mimo odpływu ostatnio około miliarda zł wkładów instytucji państwowych. Ze względu na dość gęstą sieć placówek własnych (199) BGS rozwija żywą działalność przekazową. Tak np. w listopadzie placówki Banku przyjęły ponad 37 tysięcy przekazów na ogólną sumę 12,5 miliarda złotych. Innych zleceń w tym miesiącu przyjęto około 4000 na łączną kwotę ponad 800 milionów. O akcji kredytowej mówiliśmy poprzednio. Staramy się pracować na wszystkich powierzonych nam odcinkach oszczędnie i wydajnie.

A co sądzi Pan o obawach wypowiadanych tu i ówdzie w swoim czasie w związku z dokonywanym łączeniem Banku Społem i Centralnej Kasy?

Niektórzy, nieliczni zresztą, działacze wiejscy obawiali się, że BGS zaniedba kredytowanie spółdzielczości wiejskiej i da się zasugerować sympatiom i metodom pracy Banku „Społem”. Na podstawie doświadczenia z ubiegłego półrocza można z całym spokojem stwierdzić, że spółdzielczość wiejska znajduje w BGS opiekę nie gorszą, jeśli nie lepszą, niż w dawnej Centralnej Kasie. Liczba najlepiej o tym świadczy. Kredyt w Centralnej Kasie dla spółdzielni rolniczo - handlowych wynosił w dniu 30 czerwca ub. r. zł 311 milionów, w BGS na koniec listopada ub. r. zł. 498 milionów (wzrost 57 proc.), kredyt dla spółdzielni oszczędnościowo - pożyczkowych wynosił zł 137 milionów, obecnie wzrósł do zł 232 mil. (czyli o 70 proc.), podobnie kredyt dla spółdzielni mleczarskich wzrósł o 80 proc. Korzystamy w całej pełni z doświadczeń Centralnej Kasy na odcinku wiejskim i z doświadczeń Banku „Społem” na odcinku spółdzielczości miejskiej. Dlatego zapewne nie słyszeliśmy narzekania na niedostatek życzliwych traktowanie którejkolwiek grupy spółdzielni, oczekujących pomocy ze strony Banku.

Jakie są zamierzenia BGS na rok 1947?

Jest rzeczą niemożliwą w ramach krótkiej rozmowy przedstawić całokształt naszych zamierzeń. Wymienię najważniejsze. Weźmiemy jak najczynniejszy udział w szczegółowym rozpracowaniu i realizacji 3-go planu rozbudowy spółdzielczości. W tym zakresie jest bardzo wiele do zrobienia na naszym bankowym odcinku pracy. Kontynuować będziemy studia nad racjonalizacją pracy Banku, by uzyskać na tej drodze obniżenie kosztów i stworzyć warunki do obniżenia stopy procentowej od kredytów. Będziemy prowadzić forsowną akcję propagandową na rzecz obrotu czekowo-rozrachunkowego, usprawniać i unowocześniać obrót pieniężny spółdzielni, związków zawodowych i politycznych, będziemy przede wszystkim organizować zbierkę wolnych środków pieniężnych, znajdujących się w obiegu i powiększać w ten sposób własną bazę kredytową Banku.

Ten ostatni punkt programu ma szczególnie doniosłe znaczenie, gdyż jego realizacja daje możliwość rozszerzenia działalności kredytowej bez powiększenia emisji pieniądza.

Józef Bińczak

J E S I O N

Pagórzem ogromny, brodaty zielenią,
tuż u stóp Łysej ligal Waligóra,
ligal ciężkim snem zbity
i śnił o swej pięknej dziwożonie.

Aż przypadły chłopcy - małoludy do leśnej roboty.
Ostro, ozgłośnie z ich rak łyskał zab złej siekiery
i jęklwie, zawodliwie podśpiewywała
żmijowata pila.

Nieborak Waligóra — spał gładnie, twardo,
nie czuł ciosów, ni piłowań.
Chłopom — niepozornym małoludom
ten śpas udał się jak nigdy — —

Oj spał słodko, spał twardo
i oto: garbate konięta
ciągną na zorzy stos ofiarny
jego rzecz najdroższą:
różdżkę czarodziejską,
która po pochyliznach i zakrętach
w takt kół kołaceń
tak potwornie wydłuża się i kureczy — —

Idąc obok — cmokają z zadowolenia chłopcy,
o czymś monotonna gadają, gadają koła,
blyszczy zab zjadliwie wezpłone siekiery,
skrzydłami szpaków pierzcha błoto spod kopyt.

W deszczu pasmach modrooka panna woła,
jęczy ptakiem strwożonym:
o, biedny, biedny Waligóro,
już nie dla cie łono krasnej dziwożony — —

Józef Pogan

Nieco o „moralności literackiej”

Jakżeż się zdumiałem przeczytaniem „Kiepskiej wiejskości” Piotra Greniuka, zamieszczonej w n-rze świątecznym „Wsi”. Komedii Jerzego Nowosielskiego „Szczęście Hani” nie znam i tylko na podstawie recenzji Greniuka pragnę jeszcze dorzucić parę słów. I powiem otwarcie, że tak Jerzy Nowosielski, jako też i „Wiciarze” grający tę komedię — zasługują na najostrzejsze potępienie. Być może, że komedia została napisana i odegrana dla rozbawienia gości, ale trzeba było z góry to „Szczęście Hani” przeznaczyć dla zakładu obłąkanych. Bo nawet najwykleszy prostaczek, choć się śmieje z takiej komedii (bo cóż ma robić na widok takiego głupstwa), oburza się wewnątrz, wszak wie, że to przedstawienie jest tylko dla uragowiska wsi. Bo czyż nie uragowiskiem jest przedstawianie chłopów bijących bez przyczyny przybyłego do nich mieszczucha? Twierdząc, że nie ma w Polsce takiego chłopca, który by w oczy nie uszanował „pana” nawet wtedy, gdy go nienawidzi. Wieśniacy są aż nazbyt uprzedzeni w stosunku do inteligencji. W tym wypadku Jerzy Nowosielski grubo przesadził. Zapewne słyszał coś w życiu o „chamach wiejskich” i postarał się ich odwiercieć. Chyba, że Nowosielski jest chłopem? Jeśli tak — to gratuluje mu tak paskudnego popisu!

Dalsza sprawa jeszcze paskudniejsza: Gdzie tu u licha, nie tylko autor, ale bądź ktokolwiek inny słyszał by 17-letnia dziewczyna opowiadała sąsiadów o tym, że „jej ojciec leżał na podłodze pijany bez kaletów”. Tego nawet najgłupsza dziewczyna nie mówi, choćby tylko ze wstydu, nie mówiąc już o ośmieszeniu siebie i rodziny. Chyba, żeby była wariatka. Ale chyba wariatów nie przedstawia się na scenie.

Oj, źle, bardzo źle, panie Nowosielski i Wy, Młodzi „Wiciarze”. Nie bawcie się brzydko!

Przy okazji potrąca mimochodem o list Józefa Bieńka pt. „do Józefa Pogana”, zamieszczony w nr 34-35 „Wsi” 1946 r. gdyż z listu tego wynika, że ja może nie jestem „moralnym pisarzem”. Nie odpowiadałam Bieńkowi, bo i nie było co odpowiadać. Przysłałem raczej jego żądaniem pod adresem pisarzy, gdyż pojmuję w pełni jego szlachetne intencje. Tylko, że Bieńek nie chce czy też nie może mnie zrozumieć. On pragnąłby jak najmniej widzieć w literaturze chłopskiej owych „Walków Buraków” itp. scen, wszak to ujemna strona wiejskiego życia. Ja zaś pragnąłbym nie tylko w literaturze, ale też i w życiu nie widzieć tych „Walków Buraków” i dlatego tworzę prawdziwe obrazy z tych scen, które by najjaśniej odzwierciedlały wiejskie życie tak z dodatniej jako też i z ujemnej strony. Prawda, że więcej opisuję zła, niż dobra, wszak wychodzę z założenia, iż człowiek więcej powinien czynić dobrze niż źle. Uważam, że opisując zło, przyczynię się tym do jego wyeliminowania.

A choćby nawet tu opisywanie zła nie przyniosło z goła żadnego pożytku społeczeństwu, nie dbam o to, wszak pragnę być obiektywnym i sumiennym.

Bieńek wylicza całą litanię o „chlaniu bimbru” przez chłopów, o „wspólnych przepankach”, wspomina o ciętym oknie dla artysty przez... (nie chce tego powtarzać) i tym podobne szelmostwa.

Do licha, przecież w moich utworach tak samo jak i rzeczywistości wieś nie jest wcale „zachlana”. Chłopi nie piją, bo nie mają na to pieniędzy. Czasem jakiś chłopak wypije sobie kwaterkę, mo i wtedy robi awanturę.

Na ten temat było by dużo do gadania, lecz po co to, gdyż i Bieńek i ja i wszyscy chłopscy pisarze jednego pragniemy: Podniesienia moralnego i materialnego stanu wiejskiego ludu.

Rozważmy choć pobieżnie sens moralny któregoś z moich utworów. Choćby „znienawidzony” przez Bieńka obraz z noweli „Walek Burak”. Bohaterami jest dwoje ludzi: bogaty chłop, nieco „okrzęsany”, gardzący biedakami, a kumający się z księdzem i organistą i jego służącą. Natura ludzka robi tu swoje: młody chłop napastuje służącą, gdyż jego żona choruje. To może nie najgorsze zło, gdyż większość ludzi nie może pohamować swej żądzy. Złem jest natomiast oklamywanie służącej przysięgą ożenkiem, a już zbrodnia jest uwiedzenie jej, następnie odstępowanie innemu wdowcowi, aż nareszcie śmiertelne jej pobicie i wyrzucenie z mieszkania na łód. Tak podłych ludzi niewielu znajduje się po wsiach, bądź co bądź nigdzie ich nie brakuje. Są to przeważnie materialści, ludzie bez serca i sumienia, a przeważnie bogacze i klerykały, jak na przykład ów „Walek Burak”.

Czy w pojęciu Bieńka taka dziewczyna jest zepsuta?... Bo dla mnie, jest to ofiara w rękach bogacza, która płacząc nad sobą, ulega, by ją nie wyrzucić z pracy. A takimi ofiarami byliśmy my, chłopcy przez wieki pod jarzmem gniebieli.

Przypuszczam, że po tych paru słowach, Bieńek pojmie moją intencję. Bo ja tak samo jak on — pragnę dobra społecznego, i o to dobro jak mogę, tak walczę.

Józef Marciniak
(Łódź)

Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś^{*)}

Jako gorący sympatyk Waszego pisma chcę i ja wziąć udział w konkursie „Wsi” na temat „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś”.

Chciałbym z Wami podzielić się moimi uwagami, które przeżywałem za czasów sanacji, a później cały czas okupacji. Jako robotnikowi (co sądzę nie przeszkadza mi wziąć udziału w konkursie) o wykształceniu elementarnym trudno mi przełazić myśli kłębiące się w głowie na papier. Pierwszą refleksją, jaką miałem po przeczytaniu warunków Waszego konkursu, było uczucie olbrzymiej radości. Nareszcie! Węsz są ludzie, którzy chcą myśli pisane w tyle lat przeze mnie wcielać w życie? Tak, Wasz konkurs jest plagiatem mych najserdeczniejszych myśli i za ten plagiat i za wcielenie w czyn mych myśli i pragnień cześć Wam i moja dozgonna przyjaźń (na której może Wam nie zależy, lecz to głupstwo). Chodzi o ten kontakt między autorem a czytelnikiem, co autorowi da możliwość poznawania psychiki i wymogów czytelników, a czytelnikom da to wewnętrzne zadowolenie, że są, jak gdyby współtwórcami prac autora.

Wybaczyć, że do samego tytułu konkursu mam pewne zastrzeżenia. Otóż moim marzeniem było, jak wpłynąć na naszą literaturę, która ma decydujący wpływ na kształtowanie się charakteru Narodu, a przez to na jego szczęśliwe lub nieszczęśliwe losy. Otóż czytałem przekłady z literatury obcej, a szczególnie angielskiej zauważyłem, że dobrzy autorzy nie sugerują jawnie swych sympatii, czy antypatii do danej osoby czy danego ustroju, lecz przez umiejętne operowanie kontrastami pojedynczych osób czy fragmentów prowadzą czytelnika do zamierzonego celu, lecz to już jest sztuka pisarską, znawstwo psychiki swego społeczeństwa, do poznania których każdy z piszących naszych literatów powinien dążyć.

Wychodząc z tego założenia mam zastrzeżenia co do tytułu konkursu, nie „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś”, ale „Jakiej powieści chce Naród w Polsce Demokratycznej?”. Lecz z drugiej strony wieś czy miasto, robotnika, chłopca, czy inteligenta pracującego ożywiać powinna jedna i ta sama myśl, myśl pracy dla dobra Polski Ludowej i ugruntowania Demokracji, tym samym przyczynić się do zrealizowania Idei Prawdy i Sprawiedliwości Społecznej. I to co będzie dobre dla wsi, tym samym będzie dobre dla całego Narodu. Jeśli chodzi o powieść dla wsi, to moim zdaniem byłaby najodpowiedniejsza powieść realistyczna z życia wsi nie wyłączając innego środowiska, robotniczego czy inteligentnego, a nawet odwrotnie łącząc je np. członkowie rodziny żyjącej na wsi przenoszą się do miasta i tu żyją życiem robotnika miejskiego czy też życiem inteligenta. To by odpowiadało faktycznemu stanowi rzeczy, a jednocześnie scementowałyby te trzy fundamentalne warstwy społeczne.

Niemniej ważną będzie powieść w typie dydaktycznym, tak dla młodzieży, jak i starszych lub naukowo-informacyjnej nie tylko z etnografii czy systemach gospodarki w różnych dzielnicach naszego kraju, lecz i w systemach gospodarki w innych z nami sąsiadującym krajach z podkreśleniem dodatnich czy ujemnych stron danego systemu. Bohaterzy powieści, osnowa i poszczególne sceny powinny być jak najwięcej realne i zbliżone do prawdy bez zbytecznego sugerowania osobistych poglądów autora. Natomiast sugerowanie idei ogólnoludzkich nawet przejawione nie zaszkodzi, ale odwrotnie zbliży nas do celu, do którego dążymy.

A celem tym jest podniesienie poziomu moralnego i umysłowego naszego społeczeństwa, przez uświadomienie jednostki o jej obowiązkach względem społeczeństwa i umiowanie Prawdy i Piękna, aby to umiowanie Prawdy weszło w psychikę nie tylko jednostek, ale całego naszego społeczeństwa. To dopiero w połączeniu z trzeźwą oceną przemian historycznych, wczucie się

*) Patrz wypowiedzi Józefa Bieńka, Adolfa Kotarby, Antoniego Szmigularza, Piotra Ożarowskiego, Henryka Biłki, Stanisława Samary, Mariana Cieślaka, Stanisława Kiszki i Stanisława Palecznego w n-rach: 1/80, 2/81, 3/82 i 4/84 „Wsi”

w psychikę dyplomacji światowej zaprowadzi nasz Naród o słonecznej drodze Demokracji do Idei Prawdy i Sprawiedliwości Społecznej.

Janina Rokicka
(Krężnica)

Na pytanie postawione przez Redakcję — można krótko odpowiedzieć, że wieś pragnie dobrej powieści i to w najszerszym i najgłębszym słowa tego znaczeniu — dla czego — bo powieść ma być nauczycielką, wzorem, przewodniczką, wreszcie przyjemnością i rozrywką. Wieś jest spragniona dobrej książki. Jestem już 5-ty rok na wsi — i głód książki jest mi dobrze znany! Stąd też znam gust wsi — wiem co lubi ona czytać.

Dziewczęta w szkole na wyżej wymieniony temat zadania odpowiedziały bardzo różnorodnie — gdyż mało było takich, które by jednakowe powieści czytały. Ogólny wniosek wysnułam taki — dziewczęta bardziej czytane i inteligentne lubią powieści historyczne, a więc Sienkiewicza i Krasińskiego (bo tych tylko znają) — inne zaś lubią powieści Rodziewiczówny, Mniszkówny, słowem pragną powieści kompensacyjnej wyrównującej ich braki życiowe — a powieści tego typu jak „Placówka”, „Orka na ugorze” — podobają im się — ale uważają je swoim twardym realizmem („bo wszystko my i tak znamy — jeszcze czytać, że ten chłop zawdy uciemieżony”). Wielu dziewczętom podobała się ogromnie powieść Edgara Allana Poe’a „Hansyna”, tłum. z norweskiego. Z rozmów o tej książce wywnioskowałam, że pragną takich powieści, w których by była przedstawiona kobieta, która własnym trudem i pracą (ze służącej z biednej kmtce rodziny, jak Hansyna) — własną pracą doszła do stanowiska właścicielki wielkich domów handlowych dając uczciwą zapłatę rzeszom robotników. Dziewczęta chcą powieści o kobiecie-bohaterce szarej codziennej pracy — o kobiecie dobrej matce — o kobiecie społeczniczce, (nieraz pytają jak pracować — jak być użyteczną), o kobiecie, biorącej udział w odbudowie państwa, umiejącej umiejętnie i owocnie pracować. Pragną powieści o kobietach, które przyczyniły się do powstania Polski tj. brały udział w walkach, bądź partyzanckich — bądź na froncie. Pragną też powieści biografii sławnych mężów i uczonych. — Dałam im do czytania powieść pt. „Edison” — W. Meadarcroft z bibl. „Wiedzy”, zarówno dziewczętom (jak i chłopcom) szalenie się podobała. Dlatego też powieści popularyzujące sławnych ludzi, sławne dzieła — bądź też najnowsze wynalazki z dziedziny techniki, interesują młodzież żeńską (starszą) i chłopców. Chłopcy też pragną powieści z których by dowiedzieli się o życiu, obyczajach i pracach czy na roli, czy spóldzielczości, innych zawodów. Gdy im opowiadać coś np. o Danii (hodowli krów i produkcji) czy Holandii (uprawa kwiatów — walka z żywiołem, morzem, tamy) interesuje ich to ogromnie. Dobre więc byłyby powieści rozszerzające horyzont myślowy — traktujące o egzotycznych narodach Chłirczykach, Japończykach — jak żyją, pracują, w co wierzą itp. Na wsi naszej — a jak słyszę i sąsiednich — rozpanoszyło się ogromnie pijaństwo przy najdrobniejszym nawet interesie (kupno, szycie ubrania itp.) musi być bimber — niech nad tym zagadnieniem też Panowie Pisarze pomyślą i bądź satyrą — bądź w inny sposób staną do walki, — bo o trucizna młodzieży. Bohaterami powieści powinny być typy mocne fizycznie i duchowo, nieustępliwe w walce o byt, zdecydowane do walki o ideały, o szerokich horyzontach patrzenia na świat, kładące dobro ogółu — przed osobistą korzyścią, bezinteresowne w pracy społecznej, służące dobrze Bogu i Ojczyźnie. Powieść powinna wskazać jak żyć w nowych warunkach, wytworzonych przez reformy i obecne stosunki, powinni nauczyć młode pokolenie, że wolność, że te reformy to droga są okupione krwią i ofiarami, żeby je cenili. Wieś pragnie powieści z czasów okupacji niemieckiej — jest wiele wsi, które mogą pisać własną krwawą i łzawą historię — ale są i takie, które prócz konfidentów i nielicznych jednostek ze swych mieszkańców nie straciły nic (do tych należy Krężnica i okolice) — dla tych więc trzeba powieści któ-

rych tematem: Majdanek, Oświęcim, Buchenwald i tyle innych i dla tych co po nas przyjdą. Niech poznają na podstawie powieści przyszłe pokolenia jakim krwawym trudem i męczeństwem i śmiercią setek tysięcy — okupiona Wolność i Demokracja — aby ją cenili.

Starsze pokolenie — kobiety lubią książki religijne np. „Guadelupa” (nie znam autora — wiem że to dzieło męczeństwa Meksyku) w ogóle powieści pisane z sercem, przemawiające do uczucia.

Kazimierz Simbierowicz

Ponieważ wychodzę ze środowiska wiejskiego, gdyż ojciec mój i dziadek posiadali gospodarstwo rolne i najmłodsze swoje lata spędziłem w służbie dla wsi, wobec tego znam ją dobrze, jej potrzeby, wady, dolegliwości i upodobania, to jednak chcąc sumiennie odpowiedzieć na powyższy temat, postąpiłem w ten sposób: uczyć 5 i 6 klasę, w których mam razem 60 dzieci — postanowiłem więc za pośrednictwem tych dzieci zebrać materiał od ich rodziców i młodzieży; rozdałem dzieciom ankietę w liczbie 60 sztuk, na której były takie pytania: 1) Jakie książki dotąd przeczytałeś? 2) Które z nich najbardziej mi się podobały i dlaczego? 3) Jakie książki chciałbym teraz czytać?

Po tygodniu otrzymałem 60 ankiet z odpowiedziami, lecz bez żadnego podpisu, żeby nikogo nie krępować. Odpowiedzi podzieliłem na działy stosownie do treści. Wyniki otrzymałem takie:

- 1) książki rolnicze — 3 odpowiedzi;
- 2) literatura piękna — jak: Ogniem i mieczem, Potop, Krzyżacy, Stara Baśń, Chłopi, Placówka i inne — 5 odpowiedzi;
- 4) obyczajowe, a zarazem geograficzne — jak: obce kraje i narody, ich urządzenia, ustrój polityczny, kultura, oświata itp. — 4 odpowiedzi;
- 5) podróżnicze — 8 odpowiedzi;
- 6) odkrycia i wynalazki, najnowsza technika, bomba atomowa — 6 odpowiedzi;
- 7) walczy ludzie, ich okres dziecięcy, dążenia, upodobania, postępy w nauce, czynny i działający — 8 odpowiedzi;
- 8) okupacja niemiecka w Polsce i we wszystkich krajach okupowanych podczas ostatniej wojny — 18 odpowiedzi.

Ponieważ ostatni dział otrzymał największą odpowiedź, przeto chciałbym temu działowi poświęcić parę słów.

Otóż jeszcze podczas okupacji postanowiłem sobie, że jeżeli szczęśliwie przeżyję niewolę, jakiej świat nie widział, to będę usilnie dążył do tego, żeby wszystkie zbrodnie niemieckie, wszystkie krzywdy, jakie doznał naród polski od nich podczas ostatniej wojny zebrać z całej Polski przy pomocy komitetów gminnych, powiatowych i wojewódzkich i ten gotowy materiał oddać do opracowania specjalnemu komitetowi, w skład którego wejdą: literatura, poeci, historycy, byli więźniowie obozów koncentracyjnych, jednym słowem uczeni Polacy, którzy z tego materiału stworzyliby wielkopomne dzieło ku przestrodze dla żyjących i przyszłych pokoleń. Następnie powołać także komitet międzynarodowy celem zgromadzenia w jedną całość materiału ze wszystkich krajów okupowanych. Rzecz tę da się przeprowadzić przy pomocy Międzynarodowego Związku Byłych Więźniów Politycznych.

W OSTATNIM 4(84) NUMERZE „WSI”
z dnia 27 stycznia 1947 r.

Stanisław Cieślak — Rolnictwo w planie odbudowy gospodarczej (I); Piotr Chmura — Dwa stycznie; Kazimiera Hlakowiczówna — Przekłady z węgierskiego (Lajos Aprili — Poszła w ogród, Górale); Jan Szczepański — Refleksje w rocznicę powstania styczniowego; Henryk Syska — Im tak miła z Wisły woda, jak nam z Donu; Anna Kamińska — Modlitwy księdza Piotra Ściegiennego; Władysław Milczarek — Strofy głodnych; Leonard Sobierajski — „Sprawa włocławska a powstania polskie”; Bartłomiej Bigorajski — Jeszcze uwagi o „Chłopskiej krwi”; „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś? Stanisław Kiszka, Stanisław Paleczny; Lesław M. Bartelski — Księżyc zimą zagubiony w rzecze; Stefan Lichanski — Talent i doktryna; O literaturze dwudziestolecia — s. 1.; „Poradnik rolnika”; — tp.; Fakty i zdania, komunikaty, ogłoszenia, 1 ilustracja, 8 stron.

Gustaw Przeczek

Tkacz — poeta z Jabłonkowa

Józef Kapuściński

Główny pisarzy

Nowa książka

W Krakowie wydano ostatnio książkę **Kała i Olchy** pt. „Wies pisząca”. Tytuł książki niepretensjonalny, okładka skromna, ale treść tej książki bardzo ciekawa, mimo, że nie jest to ani powieść o wojnie ani rys historii świata. Książka ta stanowi dla przyszłego badacza ważny dokument rozwoju myśli twórczej wsi.

Już sam tytuł książki mówi, że treścią jej jest wieś pisząca — i myślałby kto, że jest to zbiór życiorysów ludowych pisarzy, że jest to antologia twórczości wsi — a tymczasem ani jedno ani drugie nie jest treścią tej pięknej i pożytecznej książki. Autorzy tej książki Kafel i Olcha, pisarze i działacze społeczni wsi, postarali się uchwycić moment, wyzwalający się duszy ludu z ciasnych więzów klasowości i stanowej niższości. Grono ludzi, którym przyszła myśl o stworzeniu lepszego jutra chłopu i wsi i zrównaniu go w prawach i zasięgach kultury z innymi warstwami, stanęło przed zadaniem znalezienia właściwej drogi do celu. Wśród szeregu rozmyślań i poczyniń doszli do wniosku, że jedyną drogą jest podniesienie ducha ludu na wyższy poziom, jest oświata, która powinna być dostępna dla każdego chłopu i robotnika. Książka ta mówi o tych niedawnych, a tak ważnych chwilach, o ludziach, którzy szli przebojem przez wały i zapory stawiane przez władze i ludzi wstecznych.

Te momenty życia wsi i ludzi, którzy stali się zapalnym zarzewiem dla całego ruchu ludowego, są ujęte tak frapująco, że czyta się je jak najbardziej interesującą powieść.

Omówienie pierwszego w dziejach ludowych pisarzy krakowskiego zjazdu, czego następstwem były wyjazdy prelegentów-pisarzy na wieś — opis urządzanych wieczorów w stodółach, szopach, czytania się z zainteresowaniem od początku do końca. Powstanie pierwszego czysto chłopskiego pisma pt. „Wies — jej pieśń”, omówienie jego zasięgu, współpracowników jest ważnym bardzo przyczynkiem do przyszłej historii odróżnienia, wyzwolenia i rozwoju wsi.

Przykłady piszących prozą i wierszem są tak umiejętnie dobrane, że stanowią cenne dokumenty z owego okresu rozwoju literatury ludowej.

Książka ta omawia obiektywnie i rzeczowo poczynania i projekty Związku Literatów Ludowych, podaje listy autorów i działaczy wiejskich, odezwy, manifesty i pierwsze wydawnictwa chłopskich pisarzy. Książka ta stanowi ważną pozycję w dziejach wydawnictw nowego ruchu ludowego i powinna znaleźć się w każdej bibliotece na wsi i w rekach działacza społecznego, a da nam ważny argument w jego pracy dla ludu.

Jako dalszy ciąg tej książki powinna być wydana antologia poetów i pisarzy ludowych, w której by znalazły się utwory i Szarka, któremu mimo tego, że były to czasy reakcji

i zacofania, robiono honory w dniu 50-lecia pisarstwa Kraszewskiego, a po śmierci wystawiono piękny pomnik ze sładek. Nie od rzeczy też będzie nadmienić, że i Kuraszowi dano zagrodę i dom kupiono ze sładek. Choć nie wszystko ładnie wyglądało... i tym domem Kurasz i bytnością Szarka przy Kraszewskim, ale suma wdzięczności ogółu i fakt uznania ich pracy godnym nagrody publicznej zasługują na szczególną uwagę. Czy dzisiaj w czasach dla ruchu ludowego stokroć lepszych, można myśleć o takich obawach wdzięczności, za pracę pisarską, czy społeczną dla ludu?

Równocześnie z tą książką wyszło drugie wydanie poezji Kubisa pt. „Przednówek”, tego śląskiego poetę, którego pragnieniem całego życia jest złączenie się z Aolizą z Macierza. Poeta, człowiek twardej szkoły życia, Polak i Ślązak twardy, jak stał, pisze swoje wiersze gwarą ludową.

W gwarze tej kryje się wiele niedomówień i wiele tajemnic. Poeta usiłuje w gwarze ludowej, twardej, ostrej, czasem trudno zrozumiałej zamknąć swój ból i swoją tęsknotę i żal za nieziszczonymi pragnieniami. Ta jego nuta smutku, tęsknoty i żalu przejawia się przez całą tę książkę, pisaną w ciągłej niepewności jutra. Poeta Kubisz ma wielką zasługę w tym, że do ogólnego skarbu poezji polskiej wnosi swój śląski kawałek cennego kruszcu.

Jedno tylko trzeba dodać na końcu, że książki wydawane dla wsi i przez pisarzy ludowych są dosyć drogie i ciągle szerokiego ogółowi niedostępne, a przecież po tej wojnie, po tej tragedii polskiej książki należy wieś zaopatrzyć dostatecznie tym duchowym pokarmem.

Jedynie prenumerata
zapewnia
regularne otrzymanie
„Wsi”

Za Olzą leży skrawek ziemi jakby dłoń tylko. Różne już wyroki o tym skrawku ziemi wydano. Jedni nazwali go dwoma morzami ziemi i machnęli ręką. To ci, którzy tego skrawka ziemi nie widzieli. Wręcz przeciwnie wyraża się ten, kto te „dwa morza” widział, kto odczuł ich piękno, ich wartość. To ziemia cieszyńska w granicach republiki czeskiej. Ziemia to bardzo urozmaicona. Kiedy udasz się z Cieszyna na północ, zagłębisz się w ciasny las kominów kopalń węglowych, czasem haldą przysłoni ci szerszy widnokrąg. Miniesz Karwinę, Orłowę i dotrzesz do Bogumina i do Odry, gdzie dawniej zbiegały się trzy granice i trzy kultury ścierały się wzajemnie. Jeżeli z Cieszyna udasz się na południe, powitają cię niebawem góry, piękne, pełne czaru i uroku Beskidy. Pozostawisz za sobą huczące trzyniecką i wejdiesz w zwężającą się dolinę. Wejdiesz w progi jednego z najstarszych grodów tej ziemi po Cieszynie — Jabłonkowa. Przemówi do ciebie stary dom jabłonkowski z t. zw. podcieniem, przejdiesz łuk ścisakajacy jakby chwytym krawędzie wąskiej uliczki prowadzącej z rynku i powędrujesz na granicę Słowacji, gdzie marzeniem puścić wodze możesz. Zatętni ziemia pod kopytami koni tureckich, jakieś echa walk, szczęk broni z wyzierających spośród traw szaniców cie docieka, więc usiadziesz i podumasz o przeszłości na łonie cudnej przyrody, bliżej Boga. Opuścisz przełęcz i powrócisz w stare mury Jabłonkowa, gdzie urodził się pierwszy z pieśniarzy tej ziemi, poeta z bożej łaski, nie uczony, syn tej ziemi, którą uprawiał, Adam Sikora, tkacz z zawodu.

Urodził się w tym samym Jabłonkowie 14 grudnia roku pańskiego 1819.

Jego ojciec, również Adam, z zawodu był tkaczem. Matka, z domu Lipowska, była niewiastą cichą i bogobojną, której łagodność i uprzejmość ziednywała sobie ogólny szacunek, a przywiązanie licznej rzeszy dzieci. „Wychowanie dzieci po Bożemu było ich najważniejszym staraniem, a całe życie domowe było urządzone po chrześcijańsku” — pisze w życiorysie swego ojca syn, Ludwik Sikora, krawiec z Jabłonkowa.

Posiadali kawałek własnego pola i skromną chatkę, w której mieszkali. Dziwny spokój od wczesnego ranka aż do późnej nocy panował w tej chatce, a życie płynęło tu jak Pan Bóg przykazał. Nabożna pieśń prawie nie schodziła z ust. Była pokarmem dla duszy.

Rodzice małego Adama byli bardzo czuli na nędzę swych bliźnich. Choć sami biedni, potrafili się wszystkim z biedniejszym jeszcze od siebie podzielić. Zwłaszcza w wigilię Bożego Narodzenia corocznie zapraszali jakiegoś biedaka do stołu. A ciężkie wtedy były czasy. Ziemia śląska dotknięta została kilkakrotnie w tym czasie klęską nieurodzaju. Głód niejednokrotnie nekał ubogich Jabłonkowie, zaraźliwe choroby przyłączyły się do wieńca niepowodzeń, ludzie marli dzieciakami. Wielu sierot zostało bezradnych, bez domu, ale Sikorowie byli zawsze pierwszymi, którzy przysparzali je do siebie.

Nasz Adam był najstarszym dzieckiem Sikorów. W ósmym roku życia zaczął chodzić do szkoły. Była to szkoła parafialna, posiadająca dwie klasy. Nauczyciel Konert był równocześnie organistą przy kościele.

Adam chętnie chodził do szkoły, gdzie zwracał na siebie uwagę swoją przykładną pilnością i wybitnymi zdolnościami. Co roku otrzymywał nagrodę za pilną naukę. Pierwszą książką, którą otrzymał była „Książka modlitewna dla katolickiej młodzieży od pewnego księdza świeckiego dycepcy Wrocławskiej, austriackiego cesarskiego królewskiego Słonska w Cieszynie roku 1823”. Autor podpisał J. K. Książd świecki w przedmowie do niej pisze: „Wydałem dla was kochane dzieciaki młodzieniaszków i panienki tę książkę, a to we waszym polszczyźnie bliższym języku”. I tak każdy rok otrzymywał jakąś książkę za pilność w nauce. Ówczesny dziekan jabłonkowski ks. Piontek, spostrzegłszy u Adama niezwykły talent, radził rodzicom, by do szkół go posłali. Lecz Adam dla biednych rodziców wyrastał na jedyną podporę, więc pozostać musiał w domu rodzicielskim, ucząc się rzemiosła tkackiego.

Młodzieńcze lata spędza wśród rówieśników na zabawach i uciechach w wolnych od zajęć chwilach. Pracy było bardzo dużo w domu Sikorów. Pracowano od świtu do zmierzchu, a nawet wieczory często przeznaczane były na różne prace, jako to „poprawę narzędzi i różnych sprzętów domowych, dalej łupanie szczyt i łanie łojowych świec do oświetlania domostwa, topienie siarki, maczanie w niej drągów, które zastę-

powwały dzisiejsze zapalki i t. p. prace, wszystko to miała młodzież na swojej starości i jeden od drugiego się tego nauczył”. W niedzielę znów i święta po niesporach w lecie bawiono się na pobliskiej polance Skotni, czasem ktoś na skrzypkach zagrał lub zapisał na piszczałce, więc potańczono sobie i zaśpiewano.

Młodzież bierze udział przy uroczystościach kościelnych, a więc w Wielki tydzień, w Boże Ciało, towarzyszy w procesjach. Nigdzie nie brak Adama Sikory, a jego zdanie i słowo wypowiedziane pomiędzy współtowarzyszami ma decydujące znaczenie. W razie nieporozumień łagodzi spory, a wszyscy go słuchają. On zaś na uciechę zawsze umie coś wesołego opowiedzieć, lub jakąś stosowną według okoliczności pieśń zaśpiewać.

W tym czasie z Jabłonkowa i okolicy, gdzie zamieszkiwali przeważnie katolicy, odbywano pielgrzymki do Kalwarii. Często chowy. Pielgrzymki te miały wielkie znaczenie, ponieważ tą drogą wędrowały na Śląsk książki, które były jedyną strawą duchową. Nasz Adam również niejednokrotnie odbywał takie pielgrzymki.

Kiedy nasz Adam miał 22 lata umarł mu ojciec. Było to w roku 1841. Na Adama spadł wtedy obowiązek starania się o byt matki i rodzinę. W roku 1845 ożenił się z Anną Płoszkówną. Życie ich było wzorem bogobojności, pracowitości i uczciwości.

W następnych latach zważyło się na Jabłonkowie kilka nieszcześć. A więc pożar 9 czerwca 1847 roku, nieurodzaj i powódź, po czym nastąpił głód i mór. Rok 1848 był rokiem dalszego niepokoju dla Jabłonkowie. Przez Jabłonków przechodził pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy ciagnących przeciw powstańcom węgierskim. Według rozporządzenia cesarskiego stworzono gardę nacionalną, która uczyła się władania bronią i pełniła służbę jako straż obywatelska w liczbie 80-ciu, pełnił w niej służbę również Adam Sikora. Z tych czasów pochodzi jego pierwszy napisany w całości utwór okolicznościowy do gardzistów, który miał kilkanaście zwrotek. Pieśń ta z innymi urywkami pieśni świątecznych, które w tym czasie napisał, spaliła się podczas pożaru domu rodzinnego Sikorów w roku 1890.

Adam Sikora odziedziczył po ojcu imię, zawód i ciężkie życie. Liczna jego rodzina nie zawsze się miała czego, najęść do syta, zwłaszcza kiedy powiększała się rodzina, a rzemiosło tkackie upadało coraz bardziej i coraz mniejsze przynosiło dochody. Wszystkie więc dzieci, skoro tylko wzięły, nie robić potrafiło, pomagało w pracy. Adam Sikora jednak nigdy nie narzekał na swój los. Zawsze wesoło patrzył na świat i obserwował bacznie wszystko, co wokół się działo. Wynikiem jego obserwacji i zainteresowań były krótkie okolicznościowe wierszyki — pieśni, które tworzył przy każdej okazji. Wszystko to, co zaprzętnęło jego umysł, znalazło swój wyraz w nowej pieśni. A więc kiedy córka arcyksięcia Albrechta Klotylda spaliła się w Wiedniu, on układa pieśń, w której boleje nad jej tragiczną śmiercią, kiedy budowano pierwszą fabrykę przedziałną w przysiółku miasta w Sigle, on w pieśni dziękuje przedsiębiorcy za nowe źródło dochodu dla ubogiego ludu górskiego, gdy zaś otwarto gdzieś w pobliżu nową szkołę, w pieśni wyraża swoją radość z powodu tego, że znów przybywa nowe ognisko oświe-

ty, kiedy przyjeżdża do Jabłonkowa jakiś dostojnik kościelny czy świecki znajduje okazję, by nową pieśń napisać. Pisze i oddaje do śpiewania. Pieśni jego szybko rozpowszechniają się pomiędzy ludem. Często przychodzą do niego z prośbą, by coś napisał, czy to na jakąś uroczystość publiczną, czy rodzinną, on nigdy nie odmawia. Tak powstały: „Koleśda Pastuszków”, „Przychód św. Trzech królów”, „Pieśń o św. Dorocie” i inne. Jedną z najpiękniejszych pieśni, którą zatytułował „Dzieci” powstała na prośbę swej córki, by i dla niej pieśń napisał. W pieśni tej ustami Róży śpiewa o swym ubóstwie i każe nieść kwiatki w darze Jezuskowi.

W najbliższym sąsiedztwie Sikory mieszkał przeszło ośmdziesięcioletni staruszek J. Paduch u swego syna na wymowie. Pomimo różnicy wieku, byli dobrymi przyjaciółmi. Staruszek ten żywił szczególną cześć i zamiłowanie do św. Krzyża w Górnej Łomnej. To też pomimo swego podeszłego wieku co niedziela przy możliwie sprzyjającej pogodzie tam podróżował. Na jego prośby i życzenia ułożył piękne pieśni o św. Krzyżu w Górnej Łomnej, które wyszły drukiem nakładem tego staruszka.

Drugim dobrym przyjacielem Sikory był A. Poloczek, mieszczanin, mąż przyjacielski i życzliwy. Ponieważ był pierwszym śpiewakiem przy kościele, więc pieśni Sikory przy każdej sposobności, w drodze idąc na odpusty czy w kościele, śpiewał, sprawiając pociechę uciechę i radość i dodając mu nowej zachęty.

Adam Sikora nie zaniedbuje jednak swego rzemiosła. Jest również wielkim miłośnikiem sadu i tu pracuje wydatnie świecąc wzorem i przykładem.

Stan zdrowia Sikory ostatnimi czasami pogarszał się. Pomimo jednak choroby, kiedy kaszel nie pozwalał mu zmuszyć oczu, wstawał z łóżka, zapalał światło i pisał rozpoczęte już dawniej pieśni.

W listopadzie 1871 choroba powaliła go zupełnie na łóżko cierpienia. Cierpi fizycznie i duchowo. Chce jeszcze żyć i pracować dla swych dzieci. „Pięćdziesiąt lat mam, ale jeszcze i teraz chciałbym żyć i pracować dla tych moich dzieci, które po mojej śmierci zostaną sierotami, dla nich radbym przeciągnąć swój żywot, a także i tego doczekać, ażebym te moje pieśni widział drukowane” — powiedział do dr. Tarnawskiego, który nie rokował mu już długiego życia. Zmarł nie długo po tym w rocznicę swych urodzin 14 grudnia 1871.

Mówiąc o pieśniach Adama Sikory, trzeba pominąć świadomie ich wartość literacką. Adam Sikora, który ukończył zaledwie miejscową szkołę, nie znał literatury pięknej, a to co pisał, dyktowało mu uczucie, miłość do tej ziemi i do tych ludzi, z którymi na tej ziemi żył razem. Pieśni jego są obrazem duszy ludu śląskiego pierwszej połowy 19 wieku, są dokumentem jego życia, jego myśli, dążeń wiary i języka.

Nie doczekał się wydrukowania swych pieśni, które światło dzienne w formie książki ujrzały dopiero w roku 1887 w Krakowie. Śpiewał je jednak lud, syn i córka uczyli się ich od ojca i matki, uważając je za własne pieśni, bo z niego one wyszły i jego oblicze nosiły. Dlatego też te pieśni i ich autor warci są tego, by o nich wspomnieć.

Adam Sikora

DO LENIWEJ

Nadszedł mięsopust, dziewczyno kochana,
Trzeba sobie szukać jakiego galana.

Potrzeba ochoty i kuraży przydać,
Ażebyś się mogła w ten mięsopust wydać.

Trzeba podnieść ręce i rozruszać pleca,
Bo nikt cię nie będzie namawiał u pieca.

Trzeba sobie dobrze nasmarować nogi,
Boć teraz parobek każdy bardzo drogi.

Teraz nie potrzeba pieniędzy, ni chaty,
Gdy tylko będzie miał na sobie galaty.

Choćby się okrywał płóciennym żuponem,
To przecie oberze sobie ładną żonę.

Napominam ciebie, ile tylko mogę,
Jak będziesz leniwa, zostaniesz przyłogiem.

*) W nrze 50—51 „Wsi” z r. 1936 drukowaliśmy kolekę Adama Sikory p. t. „Pójdźcie chrześcijańskie narody”.

FAKTY I ZDANIA

WILCZE KŁY

W numerze 4 „Tygodnika Warszawskiego” dr. Kazimierz Rakowski w artykule pt. „Tendencje alarmy niemieckiej” poddaje rzeczowej krytyce tezy dzisiejszej propagandy niemieckiej usiłującej za wszelką miarę przekonać świat, że odebranie Niemcom ziem wschodnich stanowi poważne zagrożenie egzystencji gospodarczej Niemiec. Dr Rakowski rozpatruje wyłącznie aspekt gospodarczy tej sprawy i na podstawie danych statystycznych zaczerpniętych ze źródeł niemieckich (Statistik des Deutschen Reichs Bd 599, Berlin 1941 i in.) oraz na podstawie wypowiedzi niemieckich specjalistów do spraw agrarnych Konrad Meyer) dowodzi fałszywości tezy niemieckiej: Gospodarstwo niemieckie — pisze autor — ma przed sobą jeszcze dwie niewyżyskane a obfite rezerwy:

- 1) przeszło pół miliona nieużytków i pustkowi,
- 2) przebudowę ustroju rolnego na formy produkcyjniejsze.

Przebudowę ustroju rolnego, to znaczy po prostu parcelację większych własności, pełną reformę rolną.

Co jednak oznacza wysuwanie przez propagandę niemiecką argumentów natury gospodarczej? Jak widzimy argumenty te są fałszywe i bezpodstawne. Nas interesują przede wszystkim aspekty polityczno-społeczne całej sprawy, pominięte przez autora cennego artykułu. Czy nie zastanawiającym jest to właśnie, że nasilenie propagandy niemieckiej przypada na okres tuż przed konferencją moskiewską? Prasa donosi o codziennych wystąpieniach rozmaitych panów Schuhmacherów, mówiących zaledwie w dwa lata po zakończeniu wojny o „misji dziejowej narodu niemieckiego”, o krzywdzie, wyrządzonej Niemcom, ba są tam nawet pogróżki, że naród niemiecki „nie pozwolił...”, że jednakowoż zapatrzuje się na tendencje „okrajania” Niemiec ze Wschodu jak i Zachodu. Do tych „pierwszych skrzypiec” akompaniamentem i to poważnym ma być owa kampania gospodarcza. Ale o jakiejże „misji dziejowej” narodu niemieckiego? może być mowa teraz, kiedy nie obeszła jeszcze ziemia od leż i krwi mordowanych ofiar hitlerizmu? „Misja dziejowa” — wiemy jaką ona jest — Pomorze, olsztyńskie, poznańskie, śląskie — wszystko to „ziemie niemieckie” — my z łaski panów, zamknięci w jakiejś tam gubernii dostarczamy niewolnika dla „Herrenvolku” — nie, panowie sąsiedzi, dość tego! Nowy świat, który idzie, nie zna takich „misji dziejowych”.

SAMOPOMOC CHŁOPSKA ZAKŁADA TEATRY

Jest to wiadomość sensacyjna, ale prawdziwa. Czyżby powoli realizowało się nasze marzenie o wpływie kulturalnym Związku, o realizacji owego punktu Statutu, na którym opiera się cała nasza gorąca nadzieja, a który mówi o zadaniach kulturotwórczych nowej organizacji, stawiając je na równi z gospodarczą i organizacyjną przebudową losu chłopskiego?

Ten wstęp był w tonie żartobliwym, choć jak każdy żart zawiera iskrętkę prawdy o naszych tłumionych ambicjach. Jakby nie było, przejęcie Teatru Miejskiego w Jeleniej Górze przez Samopomoc jest zjawiskiem niezwykłym, tym bardziej, że nie chodzi tu o wynajęcie sceny na przedstawienie amatorskie, a o stałą dzierżawę (na razie zawartą z Zarządem Miejskim do 31 sierpnia 1947 r.), i to głównego teatru w mieście. Jest to ta sama ruchliwa placówka Samopomocy, która zorganizowała przedstawienie „Chłopskiej krwi” Łazarka, omawianej w N-rze 46(74) „Wsi”. Teraz pod firmą „Teatr Samopomocy Chłopskiej” będzie ona prowadzić „stały teatr o charakterze”, pragnie również uruchomić szkołę teatralną, samą zaś scenę poddać pod kontrolę członkowi społecznemu, zespolić na jej terenie wysiłki miejscowego „Ośrodka dramatycznego TUR” z własnymi (np. zobowiązała się Samopomoc do „oddawania TURowi pierwszeństwa przed innymi stowarzyszeniami w korzystaniu z urządzeń teatru nie mniej, niż cztery razy w miesiącu”).

Niesposób jeszcze ocenić tego niezwykłego posunięcia, dokonane go śmiało przez Samo-

pomoc na Ziemiach Odzyskanych. Brak miejscowej tradycji kulturalnej, sprzyjał temu rewolucyjnemu krokowi, który nie powiodłby się w Lublinie, Sosnowcu, czy innym mieście, którego ławnicy dumni są ze swojego stałego zawodowego teatru. Nie wiadomo, jak zareaguje na to Zw. Artystów Scen Polskich, zazdrośnie kontrolujący warunki fachowości pracy aktorskiej; mimo, że wobec stanu teatrów w Polsce (rozbieżność nielicznych sił artystycznych na 50 zawodowych scen, — Ministerstwo ma bowiem dziwaczne ambicje „by wszędzie były teatry”, a nie „by teatry były dobre, choćby mniej liczne”) fakt powinien być oceniony raczej dodatnio. Lepszy jest poważnie prowadzony teatr ochotniczy, wyrażający „oddolne” tendencje kulturotwórcze, niż zawodowe szmiry, mordujące „Moralność pani Dulskiej” itp., jakich są dziesiątki w kraju. W każdym razie, uświelenia jeleniogórskiej Samopomocy stanowią ciekawy precedens, i nie zgadzamy się z zastrzeżeniami, wyrażonymi przez wrocławskie „Słowo Polskie” z dnia 20.12.46.

„Miasto Jelenia Góra, jako najpoważniejsze centrum turystyki ogólnokrajowej, powinno posiadać nie tylko teatr amatorski czy szkołę dramatyczną, ale w pierwszym rzędzie powinno dysponować stałym, zawodowym zespołem artystycznym, stojącym na wysokim poziomie, którego wymaga reprezentacyjny charakter miejscowości”.

Znamy te „zespoły o wysokim poziomie”, zasillające kurorty! (czy zresztą rzeczywiste turystom wielkomiejskim potrzebny jest w Jeleniej Górze teatr znakomity, skoro zawsze lepsze mieć będą tam, skąd przyjechali, i nie dla oglądania teatru przyjechali?). Znamy też ambitne kierownictwo jeleniogórskiej Samopomocy, które przygotowało na pewno budzące wiele zastrzeżeń, ale także ambitne przedstawienie „Chłopskiej krwi” Jelenia Góra, miasto zamieszkałe przez nowy, emigracyjny element ludowy, może się poszczycić, że stało się terenem niezwykłego u nas eksperymentu: „doły społeczne”, przez swoją spółdzielczą placówkę, zagarnęły scenę, i chcą z niej zrobić placówkę kultury ludowej; zobaczmy, co z tego wyniknie.

Z. K.

CZY PROSTACZKOWIE ZROZUMIEJĄ DOBRĄ MUZYKĘ?

Takie mniej więcej zapytanie stawia Witold Rudziński w jednym ze swoich „Odcinków muzycznych” w „Dzienniku Łódzkim” (Nr 347) Autor interesuje się specjalnie problemem popularyzacji dobrej muzyki; zagadnienie to między go zarówno w jego twórczości kompozytorskiej (wydał „7 pieśni ludowych na 3 głosy mieszane w łatwym układzie”, w Pol. Wyd. Muzycznym), jak i w dzia-

łalności publicystycznej. (Propaguje w stałym felietonie w piśmie codziennym, — co jest u nas rzadkością — poważne zagadnienia muzyczne, usiłując zainteresować nimi czytelników najbardziej przeciętnych). I tym razem prowokuje do dyskusji, — zresztą ciągle na próżno, — nad jednym z najważniejszych zagadnień nowej kultury ludowej. Omawiając „Cud mniemany czyli Krakowiaków i Górali”. (Pisaliśmy o tym przedstawieniu w N-rze świątecznym „Wsi”), stwierdza, że muzyka tej opery jest łatwa, o niewysokich pretensjach artystycznych i twórczych, i dlatego ma powodzenie:

„Muszę się przyznać, że mam złośliwe wrażenie, że poziom tej muzyki i wymagania, które ona stawia słuchaczowi stanowią niemal maximum tego, co przeciętny słuchacz polski zdolny jest strawić. Jeśli zgodzimy się na to, to musimy przyznać, że niedaleko posunęliśmy się od czasów Bogusławskiego.

A oto dowody. W Jeleniej Górze wystawiono operę ludową pt. „Chłopska krew”. Zygmunt Kałużyński, który we „Wsi” poświęcił jej artykuł, zaznacza, że kompozytor-samouk Łazarek napisał ją w stylu „Halki”, ale nie w stylu arii i duetów „Halki”, tylko jej tańców góralskich. To oznacza akurat tyle, co nietrudna muzyka „Krakowiaków i Górali”. Umyślnie nie dopowiadam wielu rzeczy, bo chcę wywołać obszerniejszą dyskusję na ten temat”.

Rzeczywiście, wyczerpująca dyskusja w okresie, gdy działa instytucja nieznana u nas dotychczas, jak LIM, gdy planuje się TEATR MASOWY na skalę niespotykaną dotąd, — byłaby specjalnie potrzebna. Istotnie, na festiwalu do Salzburga, gdzie grano w wyrafinowanej oprawie scenicznej opery Mozarta, na spektakle do Bayreuth i na przedstawienia Berga i Hindemitha w Madison Square Garden przybywali przedstawiciele klas najwyższych, bogata finansjera i międzynarodowa arystokracja. Istotnie, Łazarek doszedł do wniosku, że najprędzej zdobędzie sukces, i stworzy muzykę każdego za serce chwytającą, gdy skomponuje ją raczej w duchu łatwych i rytmicznych „tańców góralskich”, niż w stylu aryj z „Halki”, przecież też nietrudnych, a jednak już podobno nasuwających kłopoty dla ludowego słuchacza. Ale teraz pytanie: czy ten słuchacz, wprowadzony na wzorowo opracowane przedstawienie „Króla Rogera” czy „Harnasiów” Szymanowskiego, rzeczywiście wynudzi się, zmęczy, nie nie pojmie, czy też, jeśli przedstawienie będzie znakomite, i opatrzone interesującym objaśnieniem, czy na najniższej przygotowanego, widza nie oddziała? Pamiętajmy, że przyzwyczajony do muzyki nie było u nas nigdy, pamiętajmy co powiedział Diderot, — że nie ma gorszego teatru jak zła opera, i nie ma wspa-

nialszego teatru jak dobra opera. Zapytajmy przedstawiciela kultury bardziej rafinowanej, czy to nie wychowanie, przyzwyczajenie i snobizm każe mu siedzieć spokojnie, bez narzekań, na przedstawieniu w którym śpiewak wymawia słowa niezrozumiałe, a dekoracje chwieją się z chrzęstem zagłuszającym co subtelniejsze barwy orkiestrowe... Dopóki nie zrobimy tego doświadczenia, by wprowadzić rzesze widzów na bardzo nawet trudną operę, — dotąd nie będziemy napewno wiedzieli.

Gdyby zaś nawet założyć, że dla widza ludowego Ryszard Strauss, Strawiński i Debussy będą nie do strawienia, nie będzie to bynajmniej pochwałą dla owych twórców operowych. Arcydzieła muszą być jasne; i są. W operze panuje u nas stały szablon repertuarowy, obracający się między Toską — Trawiatą — Faustem; opery te uchodzą za prawdziwie popularne, i dobrze wykonane na pewno są dostępne dla każdego. A przecież styl ich nie jest łatwiejszy, niż styl wielu arcydzieł klasycznych, znacznie jako dzieła sztuki szlachetniejszych, nigdy u nas niegranych, a obdarzonych wszelkimi danymi by mogły być bez trudu zrozumiane: „Norma” Belliniego (łatwa śpiewność, akcja patriotyczna — walka Gallów o wolność, nadająca się do aktualizacji), „Lucja” Donizettiego (fascynująca widza ludowego fabuła), „Wolny strzelec” Webera (elementy baśni ludowej), opery Glucka, Auber’a wreszcie z polskich kompozycji Moniuszki i jego następców, Zelenkiego, Minchejmera... Ludowy teatr operowy nie musi być trywialny, a może być niepospolitą dźwięnią kultury i muzycznej i teatralnej; przykład osiągnąć ZSRR jest tutaj wymowny.

z. k.

KU CZCI KOŚCIUSZKI

Główny Komitet Kościuszkowski w Krakowie wydał w ub. roku jubileuszowym kilka cennych książek o naszym bohaterze narodowym. Między tymi broszurami prof. A. E. Balickiego pod podanym wyżej tytułem, dająca „garść uwag na temat przygotowywania uroczystości narodowych”. Autor mówi właściwie tylko o urządzaniu poranków, akademii, wieczorów i uroczystych przedstawień ku czci Kościuszki na różne rocznice jego czynów i życia, lecz „mutatis mutandis” uwagi tam zawarte dadzą się zastosować do urządzania uroczystych obchodów ku czci każdego wielkiego człowieka. Są one świetnym poradnikiem, przeznaczonym przede wszystkim dla działaczy wśskich, którzy w tych wypadkach muszą się porać z wielkimi trudnościami i robić powolne doświadczenia.

Prof. Balicki, znany z wybitnego talentu reżyserskiego i mistrzowskiego inscenizowania wszelkiego rodzaju uroczystości narodowych, dzieli się z kierownikami wśskich obchodów swym bogatym doświadczeniem i daje wskazówki wszechstronne: i co do prelekcji i deklamacji solowej i zbiorowej, i części wokalo-muzycznej, co do dekorowania sceny, nawet co do literatury i montażów literackich. Przez wydanie tej broszury Komitet dużą zrobił przysługę na polu podnoszenia kultury wsi polskiej.

K. Sosnowski

Książki nadesłane do Redakcji

Wydawnictwa „Czytelnik”

- Natalia Gąsiorowska — Kapitalizm w rozwoju dziejowym — str. 151,
Zofia Kossak — Wana — str. 173,
Stanisław Łukasiewicz — Nauczyciele — str. 351,
Zofia Nałkowska — Medaliony — str. 88,
Ksawery Pruszyński — Trzyście opowieści — str. 327,
Jerzy Putrament — Rzeczywistość — str. 523,
Władysław Rymkiewicz — Rafał z lasu — str. 195,
Stanisław Strumph-Wojtkiewicz — Gwiazda generała Sikorskiego — str. 450.

Prenumerata „Wsi” wynosi zł 25 miesięcznie, zł 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.

Komitet redakcyjny: Zygmunt Kałużyński, Stefan Lichański, Stanisław Pięta, Leonard Sobierajski.

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000; 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Więś”, Łódź, Piotrkowska 96. I p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź ul. Żwirki 2. D—012415

»NAUKA«

POMORSKA SPÓŁDZIELNIA KSIĘGARSKA I PAPIERNICZA

z odpowiedzialnością udziałami
W BYDGOSZCZY, Aleja 1 Maja 5,
Tel. 30-69

poleca

własnym nakładem ostatnie nowości:

Adam Arzymala-Siedlecki

Ludzie są ludźmi cena 170.- zł

Franciszek Grott - Zofia Strzelecka

Miasto nad Brdą cena 100.- zł

Zuzanna Rabbska

Baśnie Kaszubskie, wyd. IV, cena 160.- zł

Władysław Dmowski

Ludzie spod miedzy wyd. II, cena 340.- zł

Ludwik Bandura

Szkola społeczna cena 160.- zł

W D R U K U:

Czesław Strzelecki

Dzieje teatru w Polsce

Eugeniusz Płomiński

Jeszcze w sprawie Dembowskiego i Szeli

W numerze 47-ym tygodnika „Więś” pojawił się duży artykuł młodego, utalentowanego publicysty L. Sobierajskiego, poświęcony mojej książce pt. „W kregach polskiej irredenty”. Artykuł ten zawiera pewne nieścisłości, które pozwolę sobie sprostować. Autor tego artykułu pisząc o stosunku Edw. Dembowskiego do zagadnień ludowych przypisywał mu postawę dosyć szablonową w tej epoce inspirowaną przez romantyzm „konceptu ludu serdecznego”, poprzedzoną „sielankowo-stylizowanym Wiesławem” Kaz. Brodzińskiego. Trzeba tu zaznaczyć, że postawa Brodzińskiego wobec ludu daleka była w jego epoce od szablonu. Przeciwnie, cechowała ją raczej pewna odkrywczość, nie wspólnego zresztą niemająca z autentycznym życiem ludowym. Zawierała ona wtedy nowe spojrzenie na psychikę chłopca. Jeżeli się zszablonizowała z czasem, to stało się to wskutek jej naśladowczego powtarzania. Jest to zresztą typowe prawo przeobrażenia się postaw, gustów estetycznych z postaci promieniującej czynnie w formę statyczną. Już polski romantyzm oddał się częściowo od postawy Brodzińskiego wobec zagadnień ludowych. Poza jedynym Sew. Goszczyńskim, żaden z polskich romantyków, nie wylaczając Zygm. Krasńskiego, który w „Psalmach” nie wyszedł poza charakterystyczną dla swojej organizacji twórczej retorykę („z szlachta polska polski lud”) nie traktował ludu od strony problematyki społecznej. Motywy ludowe (np. w „Balladach” itd.) były tylko estetycznym składnikiem tworzywa artystycznego — w polskiej literaturze romantycznej. Natomiast polska publicystyka zdobyła się na całkowity przewrót w stosunku do zagadnień ludowych. Było to zasługą przede wszystkim emigracyjnego „Towarzystwa Demokratycznego” oraz jego bodajże naczelnego publicysty Wiktora Helmana. Krajowa publicystyka tej epoki posunęła się jeszcze dalej. Jej główny przedstawiciel Henryk Kamiński (pseudonim — Filarz Prawdowski), autor między innymi słynnego dzieła pt. „O prawdach żywotnych narodu polskiego”, które to dzieło stało się twórczym motorem w rewolucyjnym dynamizowaniu nastrojów postępowo - społecznych w kraju, nazywa w swoich „Prawdach żywotnych” przyszłe powstanie polskie: „wojna ludowa” a w ludzie widzi nowy kierowniczy czynnik historyczny w przyszłej społeczności przebudowanej Polsce.

Jeszcze skrajniej ujmując to zagadnienie Edm. Dembowski w rozprawce „Kilka myśli o eketyzmie” (drukowanej w pozn. „Roku”, tom IV, r. 1843). Oceniał on lud, jako najwyższą kreację dziejotwórczą w bliskiej przyszłości, lecz również rolę pionierską na niwie sztuk pięknych literatury i twórczości nauko-

wej. Trzeba tu przyznać częściowo słusność L. Sobierajskiemu, że Dembowski przeoczał w istocie ówczesną rzeczywistość ludową i realną pozycję ludu w społeczeństwie polskim, dalej, że między teorią ludowładztwa Dembowskiego, wynoszącą lud na piedestał naczelną klasy społecznej, a ówczesnym państwowym poziomem życia ludowego w Polsce leżała przepaść. To prawda. Ale nie należy przypisywać Dembowskemu rzekomo „wspólny z romantykami „konceptu ludu serdecznego” obcej i Dembowskemu i jego romantyzmowi współczesności.

W związku z moim szkicem historycznym o Jakubie Szeli zauważa Sobierajski w swoim wnikliwym i ciekawym artykule, że przychyliam się do stanowiska wcześniejszych badaczy. Jest to niestety nieporozumienie. Historiografia polska traktowała bowiem Szela jako postać kryminalną, piętnując go bezwzględnie jako zbrodnicę narzędzie, ciemne i bezkrytyczne — polityki austriackiej.

Podobne stanowisko zajął również wobec niego Anton Springer, historyk niemiecki, w dziele pt. „Geschichte Oesterreichs seit Wiener Frieden 1809” (rok wydania 1863 Lipsk) oraz półoficjalny austriacki historyk tej epoki M. Sala. (Geschichte des polnischen Aufstandes vom Jahre 1846). Ten ostatni, rozumie się, próbował rehabilitować politykę austriacką, przerzucając winę za rzekę galicyjską na miejscową biurokrację austriacką oraz Szela. Ja natomiast przeciwstawiając się próbom wybielenia Szeli (co uczynił prof. Mich. Janik w rozprawie Zesłania Jakuba Szeli na Burkowinę) oraz heroizowania go w stylu Br. Jasińskiego, który nie wahał się dopatrzeć w nim aż wyżyn sumienia dziejów, stwierdziłem wbrew stanowisku moich poprzedników badaczy tej epoki, że Szela był mimo swojego sadzonym osobistością, mającą bezspornie świadomość klasową, walczącą w imię społecznych interesów ludu. Jeżeli moi poprzednicy w badaniach swoich nad tą epoką przeoczały społeczno - historyczny aspekt rzeki galicyjskiej, to ja nie doceniałem jego wagi, to ja podkreślałem z naciskiem ten właśnie punkt widzenia.

Ale równocześnie w imię prawdy historycznej muszę tu powtórzyć, że niepodobna idealizować i wybielać Szela, na którym bądź co bądź ciążyła odpowiedzialność za wybuch rzeki galicyjskiej, która pochłonęła 2 tysiące i kilkadziesiąt istnień ludzkich.

Nie wolno o tym zapominać, że badacz zjawisk dziejowych ma nie tylko pełne prawo, ale również obowiązek wartościować je ze stanowiska pragmatycznego ciężaru gatunkowego a równocześnie ze stanowiska społecznego - etycznego.